1. Czerwca. **Nr. 29.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera**.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM.

Obrazy z podróży

przez J. T.

(Dokończenie).

Wtedy jeden z siedzących naprzeciwko mnie biesiadników z bardziej ochoczą od innych twarzą, wytężywszy wzrok swój ku mnie i pociągnawszy magnetycznie moje oczy ku sobie, rzekł mi z żartobliwym uśmiechem:

— Cóż ty tu robisz, śmiertelniku? Co cię tu sprowadza? Jakiemi drogami dostałeś się tutaj?

Chciałem mu odpowiedzieć natychmiast, ale na żadne z jego pytań nie znalazłem odpowiedzi. Istotnie, nie wiedziałem, po co tam przybyłem i jaką drogą. Wstyd mię jakiś ogarnął; zrobiło mi się nieznośnie duszno i gorąco, twarz moja ogniem krwi zapałała.

— Mniejsza o te pytania — powiedział dalej, widząc moje zakłopotanie, a uśmiech jak wieczorna błyskawica przebiegał mu ciągle usta. — Powiedz nam lepiej co o twojej ziemi. Czy sława nasza nie zamarła całkiem jeszcze na waszym świecie? Czy mamy tam jeszcze swoich kapłanów i wieszczów?

Wzmianka o mojej ziemi przywróciła mi odbiegłą przytomność, zwróciłem się więc już z większą swobodą do zapytującego i powiedziałem:

— O naszej ziemi cóż ci powiem, mój nieznajomy panie? W starych bogów już oddawna nie wierzymy, przestajemy już nawet wierzyć w ludzi. Za to zaczynamy wierzyć w małpy i w nasz małpi początek. Jest to miła doktryna, która ma coś w sobie z grymasu małpiego podczas gryzienia twardego orzecha. Za waszych czasów podobno ludzie stawali się półbogami i całemi bóstwami — dziś wręcz przeciwny kierunek, dzisiaj szybkim krokiem zbliżamy się do małp. Nie jest to wcale moda, jest to potrzeba wieku. Zanadtośmy się oddalili od natury, więc czujemy wyczerpanie i zwracamy się ku niej z wyciągniętemi rękami. Pogardzone niegdyś małpy cieszą się teraz niewymownie z tego zwrotu ludzkości i klaszczą radośnie we wszystkie cztery ręce. Lasy Bornejskie mają być pełne tych oklasków i okrzyków radości.

Uważałem, że moje słowa sprawiły wesołe wrażenie na boskiem gronie słuchaczy. Poglądali na siebie w milczeniu, migocąc uśmiechem ust i oczu. Tylko biesiadnik o smętnej twarzy nie rozweselił się wcale, chociaż słuchał słów moich z uwagą.

— Co zaś do waszej pamięci, o bogowie — mówiłem dalej — jest ona dzisiaj w wielkie poniewierce i w zaniedbaniu wielkiem. Jeszcze przed kilkoma dziesiątkami lat był zastęp ludzi, którzy pielęgnowali pamięć waszą, jak pielęgnuje Egipcjanin drogie mu trupy, to jest martwe imiona wasze ubierali w długą suknię z aleksandrynów uszytą i chowali je w sarkofagu z wywiędłego drzewa skleconym. W ten sposób utrzymywała się jeszcze przynajmniej sztucznie wasza pamięć pomiędzy nami. Ale jak niegdyś, jeszcze za waszych czasów, niepowstrzymany wylew barbarzyńców zatopił i pogrążył na dno wasz kult i cywilizację, tak dzisiaj ich potomkowie znani pod nazwą romantyków uderzyli gęstą falangą na czcicieli waszych mumij i popiołów i do szczętu znieśli ich obóz. Pamięć wasza pierzchła, ustępując miejsca nowym potwórnym bóstwom północy. Jedna tylko dziedzina została w zupełnem posiadaniu waszem, i nikt was ztamtąd wyrugować nie zdoła, bo nikt oprócz was nieośmieli się tam wejść. Tą dziedziną jest plastyka. Tam tylko wasze o nienaruszonej harmonji ciała mają odwagę rozwinąć się na tle słonecznego blasku. Współzawodniczyć z wami nikt nie śmie, ani potrafi. Ta więc dziedzina rokuje wam pośród nas nieśmiertelność...

Kiedym tego wyrazu domawiał, usłyszałem szeptem wymówione słowo, które sądząc z głosu, musiało pochodzić od owego o smętnej twarzy biesiadnika. Słowo to wkradało się do ucha zwolna, po jednej zgłosce i dopiero zrosłszy się w całość napełniało przybytek myśli przerażeniem i grozą. Było to greckie słowo — *ananke.*

Do koła mnie powstał wir, zamęt, brzęk kielichów padających na ziemię, konwulsyjne szamotanie się ciał. W krótce zupełna noc mię otoczyła i nic już nie widziałem, choć starałem się jak najwięcej rozszerzyć oczy. Chwyciłem się za coś obok siebie i ze zdziwieniem poznałem, że to była krawędź oszklonej szafki, która w tej chwili w skutek silnego chwiania się okrętu pobrzękiwała szybami raz słabiej, to znowu mocniej. Wyciągnąłem ręce przed siebie i spotkałem się z wełnianą kołdrą. Złudzenie senne znikło: spostrzegłem, że jestem w mojej kajucie i że okręt bardziej chwiać się zaczął, wskutek silniejszych uderzeń fali. Obróciłem się na inną stronę i wkrótce znowu zasnąłem...

Kiedym się rano przebudził, zmrok był dobry w mojej kajucie; tylko garstka światła wpadała z przyległego saloniku i rozsypywała się po całej ciemnej przestrzeni. Czy to tak wcześnie? czy to tak chmurno? pomyślałem sobie i narzuciwszy płaszcz na plecy wyszedłem na pokład.

Słońce już wybiegło było wysoko i lało strumienie światła i ciepła. Uspokojone fale wdzięczyły się do słońca i w ciągłym ruchu szafir ze złotem mięszały. Przed nami rozciągał się po prawej stronie wyniosły, malowniczy brzeg Eubei, po lewej — jak białe nimfy na wpół wychylone z wody, — kąpały się drobne wyspy archipelagu. Wiatr

północny przynosił ochłodę i wypełniając natężone płótna żagli popychał nasz okręt równo i spokojnie.

Wrażenie, jakiego doznałem wychodząc z ciasnej i ciemnej kajuty na przestwór bez granic, rozjaśniony słońcem, urozmaicony pięknemi widokami, da się porównać chyba do wrażeń więźnia na wolność puszczonego, albo do wrażeń człowieka, który wyszedł z ciężkiej choroby i szybko do zdrowia powraca. Jest to chwila, w której człowiek zapytuje siebie: czy jest coś piękniejszego, czy jest coś milszego? czy jest stan przyjemniejszy? Chwila ta jest bardzo krótką, jest to prawie punkt matematyczny, który oznacza szczyt usposobienia, a od którego już poczyna się pochyłość...

I teraz zachwyt był krótkim, bo w tym roskosznym widnokręgu, który się dokoła mnie rozwijał, obok jaskrawych barw i kolorów były i smutne tony. Bo oto wysilałem wzrok dokoła i nigdzie życia ludzkiego znaleść nie mogłem. Wysokie, białe, u góry zielonością ozdobione brzegi Eubei, były tak samotne, jak może wtedy, gdy po raz pierwszy witały nadpływających Hellenów. Tylko biały żagiel rączo posuwający się po szafirowej fali był jedynym śladem ludzkiego życia w tej krainie umarłych.

Ale płynęliśmy szybko i prędko minęliśmy brzegi Eubei. Na horyzoncie jakiś nowy ląd zaczął się ukazywać. To Attyka! Wiele wspomnień bieży i ciśnie się za tem słowem?

To Attyka! Nie wiem, czy kiedykolwiek serce dzisiejszego Greka było tak dumnem ze starych dziejów swojej ojczyzny, jak było moje, kiedym czytał dzieje Attyki, dzieje tego maleńkiego narodu, który co do liczby i zajmowanej przez się przestrzeni nie dorównywał najmniejszej prowincji nie jednego dziś potężnego państwa, a któremu co do siły moralnej i twórczości nie dorównało żadne państwo na świecie.

Były zapewne państwa lepiej urządzone politycznie, było wiele państw silniejszych i trwalszych; ale życia równego ateńskiemu, któreby w tak krótkim czasie tak bogaty plon wydało, które by tyle świetnych pomników zostawiło na tak szczupłym nekropolu, takiego życia w dziejach nie znajduję.

Koło tego nekropolu płynąłem dzisiaj, zapatrzony w brzeg Attyki, wysoki, roślinnością u góry pokryty. Płynąłem obok, i nie mogłem zajrzeć do wnętrza cmentarnego i porozmawiać z gruzami świątyń o ich starożytnej młodości, i oprzeć głowy o chłodne kolumny, które już dwa tysiące lat stawią czoło ślepemu i gwałtownemu targaniu się ręki ludzkiej i powolnym, ale nieubłaganym robotom obleźniczym czasu.

Więc Attyka ma być tylko snem dla mnie? Więc te wszystkie skarby cmentarne przesuną się utajone przed mojemi oczyma?... Kto wie, może lepiej, że nie postawię nogi na gruncie uświęconym starożytnością, a tak długo potem znieważanym, i tak dotąd jeszcze znieważanym... kto wie, czy nie piękniejszą jest ta Attyka, którą stworzyłem w myśli, od tej, którą bym złożył z potłuczonych kamieni i wspomnień podanych mi ustami karłowatego potomstwa?

Tak się pocieszałem mijając cypel Attyki. Szeroka odnoga ateńska zapraszała ku sobie; Ateny nikły w mgle oddalenia. Ale my płynęliśmy naprzód przed siebie; o wycieczkach estetycznych po drodze nie można było myśleć. Głównym przedmiotem na okręcie, główną osobą, do której potrzeba się było stosować, była — kukurydza, wieziona z czarnomorskich okolic do Anglji. My stanowiliśmy tylko świtę kukurydzy i dopiero na włoskich wodach mieliśmy opuścić naszą pryncypałkę.

Kukurydza i Ateny! Podobna walka powtarza się dość często na świecie, i dość często kukurydza wychodzi z niej zwycięzko. Kukurydza ma własność tuczenia, czego Ateny nie mają wcale.

Więc i teraz kukurydza zwyciężała, mijając pogardliwie Ateny i unosząc z sobą ofiary swojego zwycięztwa.

Koniec części pierwszej.

ŚWIAT I SUMIENIE.

Dramat w pięciu aktach

przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

AKT II.

(*W domu Radcy*).

(*Po prawej biórko zarzucone papierami — obok parę krzeseł — na przodzie kanapa, przed nią stolik. — Drzwi główne, drugie na lewo*).

Scena I.

RADCA, później SŁUŻĄCY.

RADCA (*wchodząc*).

A wszędzie nieład i tysiączne szkody!
A tu, tu także.

(*Idzie do biórka*).

Coż to za foljały?

(*Przegląda*).

Wiersze! — To także. — Toż pracy są płody,
Nad którą trwoni nieraz miesiąc cały?
Korzyści żadnej! — Nie dość, że zniszczenie
Przez sługi w domu... ha, to obcy ludzie,
Lecz obojętność syna, kiedy mienie
Ojcowskie szarpią, uzbierane w trudzie —
O, to bolesne! — A on tu szpargały
Mnoży, i jeszcze śmieje się z mej woli,
On nie chce wstąpić na tę drogę chwały,
Którą wskazałem... Niechby szedł powoli,
Ale szedł przecie; i najniższe stopnie
Służby rządowej honor ludziom czynią! —

(*Po krótkiej chwili milczenia*).

Jażbym miał przenieść, by tak nieroztropnie
Czas tu marnował? — Ludzie mnie obwinią;
Rządu dostojni, dziś dla mnie łaskawi
Rzekną: Gdzie syn twój? A syn w domu — marzy...

(*Porywa kilka zeszytów i rzuca o stół*).

Niech te szaleństwa raczej ogień strawi,
Zanim obaczę na poważnej twarzy
Uśmiech litości. (*Woła*).
Tomasz!

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Jestem panie.

RADCA.

To tu na biórku i na tamtym stole

Co leży, źbieraj, niech nic nie zostanie,
I spal to wszystko.

SŁUŻĄCY.

Na strych wynieść wolę,
Bo pan Konstanty gotów by mnie zgubić
Za taką śmiałość.

RADCA.

Ty mnie słuchaj, stary!
Słuchaj, bo prędzej ja cię mogę ubić
Za twe zuchwalstwo. Nie śmiej wszczynać swary;
Rób co ci każę i nie pytaj, czemu?

SŁUŻĄCY.

Lecz panie! mojej oddał on to pieczy,
On się upomni.

RADCA.

Ty nie służysz jemu,
A u mnie służysz. Stracisz służbę stary,
Lub rób, co każę!

(*Zaczyna mu zrzucać papiery*).

Scena II.

Ciż, KONSTANTY.

KONSTANTY.

Tomaszu! co znaczy
Ten nieporządek, jakie to zamiary?

SŁUŻĄCY.

Niech pan odpowie, niechaj pan tłumaczy.

(*Wychodzi*).

(*Konstanty patrzy przez chwilę na Radcę, który stoi oparty o biórko jedną ręką i milczy także*).

KONSTANTY (*po chwili*).

Pokój potrzebny?

RADCA.

Mniejsza, czy potrzebny,
Lecz niepotrzebne te szaleństwa płody.

KONSTANTY.

O mojej pracy sąd bardzo pochlebny.

RADCA.

Pobłażliwości to mojej dowody.

KONSTANTY.

A! w takim razie mniejsza moja wina...

RADCA.

Czyżbyś ją na mnie chciał złożyć ze siebie? —
A któż to życie próżniactwem zaczyna?

KONSTANTY.

Każdy, co myśląc o najprędszym chlebie
Bez powołania stan sobie obiera,
Czy to w urzędzie, czy to sługa boży;
Każdy, co z duszy namaszczenie ździera,
Jeśli weń jaką Pan Bóg iskrę włoży;
Bo taki, ojcze, on nie dla ludzkości
Pojmuje pracę, lecz jak wół, dla siana
Dźwiga to jarzmo, dźwiga nie w miłości,
Lecz jak niewolnik dla srogości pana.

RADCA.

Zaczekaj, skończę: a panem pieniądze! —
Ale dość żartów. —

KONSTANTY.

Żartować nie mogę.

RADCA.

To więc pohamuj marzycielstwa żądzę,
To mi raz pokaż — jakąś obrał drogę,
Aby, tam idąc gdzie twe powołanie,
Nie być ciężarem, i podłego złota
Mieć choć na własne, nędzne utrzymanie.

KONSTANTY.

Rzekłeś niedawno, że moja robota
Uwłacza tobie; więc ja pokryjomu
Trzymać się chciałem mego zatrudnienia —
Mając trzech uczniów w znajomym ci domu,
Do dziś bym uczył — ale rzeczy zmienia
List bezimienny... (*dobitnie*) lecz ręka mi znana!
A w liście była sumienna przestroga,
Ażeby państwo pozbyli się pana,
Co daje lekcje, bo... na miłość Boga!
Człowiek ten miewa szaleństwa napady...
Ojcze, to pomysł jest pychy, nie serca.
Wyśmiany szedłem z tamtąd, jak trup blady,
Bo śmiech się taki do szpiku przewierca!
Twa pycha ojcze obfituje w dary,
O! w dary może do grobu pamiętne.

RADCA.

Doznałeś skutków zasłużonej kary;
A twe wymówki, jak zawsze, namiętne,
Mógłbyś poskromić. — Tak, ja jestem dumny,
Dumny z mej pracy i z mego urzędu;
A tyż, czem jesteś? Może tytuł szumny
Pisarza, ciebie przywiódł do obłędu,
Żeś sponiewierać chciał nazwisko godne
I być tymczasem — chociażby i niczem,
Byle wieść życie bez jutra, swobodne,
A zaś dla ojca zostać hańby biczem.
Cierpiałem długo, lecz brak cierpliwości,
Bo chcę w mym domu przyjść do ładu trochę.
Porządek może z kobietą zagości...
Tak, dzieci młodsze dostaną macochę...
Pojąć mam żonę, to dla dobra dzieci...
Dział twój, dam tobie, lecz masz się ożenić
Z sekretarzówną.

KONSTANTY.

Z tą panną, co świeci
Różem i złotem? Ja nie umiem cenić
Tych kosztowności.

RADCA (*jakby nie słyszał*).

I weź się raz szczerze
Do pracy jakiej, do pracy w urzędzie.

KONSTANTY.

Ja w przyszłość moją biurową nie wierzę;
Co zaś do panny, niech szczęśliwą będzie,
Ale nie ze mną — z jakim biórokratą.

RADCA.

Ja dałem słowo.

KONSTANTY.

Byłem więc zabawką.

RADCA.

O! to mi grozi honoru utratą.

KONSTANTY.

Cóż to, czy były me uczucia stawką,
Na której stracić lub można mieć zyski,
Albo honoru powetować skazy? —
Wyście sądzili, że zimne uściski
Przyjmę z majątkiem chętnie, bez urazy;
A ja zaś mówię, że choćby uporem
Uczucia ludzkie szanować was zmuszę;
Świat może wyśmiać, nazwać głupstwa wzorem,
Ale cóż zrobi, gdy głupstwo ma duszę?

RADCA.

Otóż co może umysł chorowity,
Który ci zabrał zimniejszą rozwagę.

KONSTANTY.

O duszę idzie.

RADCA.

Idzie o zaszczyty,

I o majątek.

KONSTANTY.

Olbrzymie to sprzęty!
Lecz choć olbrzymie, ja, mego sumienia
Nie mam na sprzedaż. Coż, że związek święty
Dziś się zawiera często dla zachcenia
Rodziców, albo zaszczytnego chleba;
Coż ztąd, chociażby głupstwem i ta miłość,
Gdyby — przypuśćmy — rozumnie — i nieba,
Boga zaprzeczyć, wziąć złoto i zgniłość —
Czyliż dla tego człowiek — nie szaleniec,
Ma tak bezczelnie kłamać wobec świata,
I ma ślubować kobiecie młodzieniec
Miłość do śmierci — gdy ich nic nie brata?...
Do czegoż taka komedja w kościele?
Lepiej zaiste źmienić to rozumnie
Mówiąc przy świadkach: „Ja, chociaż nie dzielę
Przekonań twoich, a pani też ku mnie
Nic nie uczuwasz — jednak ciebie biorę,
Ślubując grzeczność, rozum, wszelkie środki,
Co mogą złotem napełniać komorę.
Tak mi dopomóż mój honorze słodki,
I wszystkie świetne spekulantów wzory."

RADCA.

Nic, nic pokory! oto czasu znamię;
Każdy z tych młodych do szyderstwa skory.

KONSTANTY.

Dobrze przynajmniej, że uczuć nie kłamie.

RADCA.

Znam ja was dobrze, gorączka was trawi,
Rozsądek chłonie — i psuje nauki.

KONSTANTY.

Może serc młodych zabójstwem my krwawi?
Może spadamy jak sępy lub kruki
Na dom, gdzie błyszczą prawie dziecka oczy,
Aby to dziecię wziąć w lubieżne dłonie
Do zimnych piersi, które robak toczy?...

RADCA (*przerywając*).

Tak więc do ojca, i tak syn przemawia,
Co się tem chlubi, że ma serce w łonie!
A ja go nie mam — co? Ale coś zakrwawia
Ten syn w mej piersi! o, tak, tu mię boli!
Tyś lekkomyślny, może nierozumny...
Ja jednak szczęsnej chcę dla ciebie doli,
Choć mi powtórzysz, żem zimny i dumny.

KONSTANTY.

Jeśli twe serce dla mnie kiedy biło,
Tom i ja nie był dzieckiem tak wyrodnem;
Ale co teraz, powiedzieć mi było,
Że mogę stać się tobie niewygodnem
Narzędziem w domu... Tak poprostu trzeba...
Ja gdzieś przy pracy znajdę sobie kątek,
A może nawet i kawałek chleba. —
Tylko tych proszę nie niszczyć pamiątek,
Ja je zabiorę.

RADCA (*łagodniej*).

Tylko o to proszę.

(*Wychodzi przez drzwi główne*).

Scena III.

KONSTANTY (*sam*).

(*Wysuwa z pod kanapy walizę, składa tam papiery w nieładzie i mówi zwolna bez uniesienia*).

Smutna rzecz, takie z domem pożegnanie...
Choć i dziecięcych lat moich roskosze,
Dzisiejszej równe. Wiem, że nie zostanie
Wspomnienie nawet po mej tu osobie...
Wiem, że tak będzie; a jednak mi smutno,
Bo doświadczenie znów jedno zarobię
Tak drogo, gorżko... Ojciec duszę butną;
I przekonania już moje potępił...
Ja, może losów upornych nie zniszczę,
Napróżno będę myśl i serce tępił!
Ha! czyż dla tego przeczuciem już w zgliszcze
Mam padać naprzód, być robactwa łupem,
Co dziś pod różną postacią wyjada
Serce z ludzkości, która prawie trupem,
A o swych prawach i uczuciu gada?! —

(*Po krótkiem milczeniu*).

Gdzież prawa moje? Miałem i ja prawo
Do łask ojcowskich; ale matka druga
Weszła w to prawo i krzywdziła krwawo,
A syn najstarszy w domu był jak sługa.
Teraz znów matka, to trzecia z kolei...
To młode dziewczę dla mnie wstrętne dziwnie,
Idzie za starca, jakby bez nadziei
Lepszego losu, wyznając naiwnie...

Scena IV.

KONSTANTY, ADAM.

ADAM (*powitawszy Konstantego podaniem ręki*).

Coż to porabiasz?

KONSTANTY (*obojętnie*).

Z domu się wynoszę.

ADAM.

Coż, jak — rzecz dziwna!

KONSTANTY.

Dziwną być nie może;
Mieszkać nie mogę przy młodej macosze.
Ojciec się żeni.

ADAM.

Z kim?

KONSTANTY.

Dziewczę dość hoże
I młode bierze — twoją narzeczonę.

ADAM.

Co, co? Nie chciała czekać mię Kamila!
A i pan radca prędko chce mieć żonę...

KONSTANTY.

I mieć ją będzie.

ADAM.

Przyjemna to chwila,
Która zwiastuje kochanki utratę!
Mnie jednak rospacz zmysłów nie odbierze;
Umrzeć raz muszą ciotunie bogate,
To i mnie szczęście powita raz szczerze.

KONSTANTY.

Powita szczerze?

ADAM.

Ha, może obłudnie;
Ja i tak wolę komedje niż smutki,
W miłości wolę ranek niż południe;
Z nieznacznych przyczyn, często krwawe skutki,
To też przyczyną zawsze już być wolę
Skutków pociesznych.

KONSTANTY (*ukończywszy pakowanie podchodzi do Adama*).

Słuchaj, w mojej sprawie
Musisz mi pomódz.

ADAM.
Jeśli będę w stanie.

KONSTANTY.
Nie mam gdzie mieszkać, jestem goły prawie,
Na dwa dni zajmę twoje pomieszkanie.

ADAM.
To być nie może.

KONSTANTY.
Nie?

ADAM.
Są bo powody...

KONSTANTY.
Wdzierać się nie chcę w czyjeś tajemnice.

ADAM.
A ja z twym ojcem zrywać nie chcę zgody...
Dla tego nawet przed nim się poszczycę,
Żem ci odmówił.

KONSTANTY.
To mi obojętne.

ADAM.
Lecz się nie gniewaj, bo jest to konieczność.

KONSTANTY.
Po cóż ekskuza?...

ADAM.
Przyjęcie niechętne,
Byś nie policzył mi jako niegrzeczność.

KONSTANTY.
Wszak nie obwiniam, czemuż się tłumaczysz?

ADAM.
Przykro mi bardzo.

KONSTANTY.
Mnie uradowała
Otwartość twoja, sam sobie przebaczysz,
Gdy mi uwierzysz.

ADAM.
Zawsze gorycz mała.

KONSTANTY.
Dla mnie nie nowa.

ADAM.
W twojem położeniu,
To rzekłbym, nawet dobrodziejstwem będzie;
Człowiek zawdzięcza wszystko doświadczeniu.
Lecz może pomódz mogę w innym względzie?

KONSTANTY.
Czy masz pieniądze?

ADAM.
Materja drażliwa —
Bo rzeczywiście jestem bez krajcara;
Ale bądź pewien, że przyjaźń prawdziwa...

KONSTANTY.
I chęcią dobrą dopomódz się stara —
Wiem, i dziękuję.

ADAM.
O, najszczersze chęci...

KONSTANTY.
Już nie pomogą.

ADAM.
Prawda, trudna rada.
Czego to człowiek nie raz nie poświęci,
I poświęcenie tak marnie przepada,
A wiedzą o tem chyba przyjaciele...
Ty, dajmy na to...

KONSTANTY (*z uśmiechem*).
Nie zginąłem jeszcze,
I nie tak trudne do spełnienia cele;
Myślą poświęceń zresztą się nie pieszczę.

ADAM.
Ja wiem, żeś dumny. Co do mnie, to drogę
Radziłbym obrać podług ojca woli,
Bodaj pozornie.

KONSTANTY.
Nie radź mi! Nie mogę,
Kłamać nie będę; powierzę się doli
Jaka mię spotka.

ADAM.
Sądzę, że nie świetna.

KONSTANTY.
Prawdopodobnie.

ADAM.
To uporu skutek.
Ta, podług ciebie, pobudka szlachetna
Naraża wielu na troski, na smutek,
Na niedostatek, na nędzę ostatnią,
Wiedzie do zbrodni...

KONSTANTY.
Nie boję się gromu;
Tyś gotów zawsze podać mi dłoń bratnią.

ADAM (*powtarza machinalnie*).
Tyś gotów... prawda... Twój ojciec czy w domu?

KONSTANTY.
Był tu przed chwilą. —

ADAM.
Pójdę go powitać —
Życzyć mu będę szczęścia w przyszłym stanie,
Gdy on zapewne rospacz zechce czytać
Z mego oblicza.

(*Wychodzi przez drzwi główne*).

Scena V.

KONSTANTY, później ZŁOTKOWSKI.

KONSTANTY (*sam*).
Jak uczucia tanie
Człowieka tego!... Za uśmiechu chwilę
Prędzejby może był przysługę zrobił. —
Teraz zobaczę jak o własnej sile
Poradzę sobie. To, com przysposobił
W sobie dla ducha, dla ducha wystarczy;
Lecz dla materji zabrakło żywiołu —
To może umysł zanadto obarczy!...
Może nie znajdę u wspólnego stołu,
Przy którym siada tyle ludzi co dnia,
Miejsca dla siebie? — Ha, wtedy jedynie
Pośród ciemności serce, jak pochodnia
Niechaj mi świeci, porywa i płynie!

ZŁOTKOWSKI (*wchodzi z lewej*).
Kuzynku drogi! twój ojciec w rospaczy
I zagniewany; cóż to ztąd za skutki?
Idź, powiedz słowo, a on ci przebaczy;
Niech się w tym domu już raz skończą smutki.

KONSTANTY.
Smutki się skończą, gdy się ztąd oddalę.

ZŁOTKOWSKI.
Ty masz, jak widzę, nie dobre zamiary!
Uporu ojca zupełnie nie chwalę,
Lecz i ty mógłbyś bez wielkiej ofiary
Być powolniejszym.

KONSTANTY.
Bez zamiłowania

Chcecie, bym zdobył stanowisko świetne,
Zaprzedał duszę, zmienił przekonania.

ZŁOTKOWSKI.

Cenię otwartość, zamiary szlachetne...
Ależ na Boga, jakoś żyć potrzeba!
Ta, czy ta praca — rzecz obywatelska;
Bez pracy, z głodu, można wleźć do nieba,
A ciebie przecie jakaś dłoń anielska
Tutaj do ziemi przykuwa i nęci...

KONSTANTY.

Nie mówmy o tem.

ZŁOTKOWSKI.

To tylko tak... żarty.

KONSTANTY.

Ja postanowień zmieniać nie mam chęci.

ZŁOTKOWSKI.

Słuszność ma ojciec: kuzynek uparty.

KONSTANTY.

Chciej mię posłuchać; nim się ztąd oddalę
Mam jedną prośbę: zostają tu dzieci,
Które nie widzą często chleba wcale
Wtedy, gdy łakną, choć nędza nie świeci
Tu w żadnym kącie; jest to skąpstwo brudne.
Więc siostrę, brata, polecam twej pieczy...
Zadanie takie nie będzie zbyt trudne.
I jeszcze w jednej chciej mi pomódz rzeczy
Na razie tylko. Nim gdzie znajdę pracę,
Guldenów kilka pożycz mi koniecznie,
Niech gdzie pokoik choć lichy zapłacę.

ZŁOTKOWSKI.

Powiem ci szczerze, szczerze... bo niegrzecznie,
Że... że nie mogę — nie odmawiam wcale,
Lecz mi w tej chwili drobnej brak monety.
Wiesz, że przenigdy papierów nie chwalę,
Ale cóż robić, już je mam niestety!

(*Mówiąc wyjmuje z każdej kieszeni papiery, i pokazawszy, chowa*).

Akcje kolei, pożyczka głodowa,
Listy zastawne; — kuponów co było
Zmienianych, poszło... Ot i narodowa
Pożyczka także!... Prawdziwie nie miło,
Bardzo nie miło nosić te papiery,
Kiedy by można pomódz małą kwotą...
Lecz pójdę szukać... Bądź mi zawsze szczery!

(*Wychodzi na lewo*).

Scena VI.

KONSTANTY, później SŁUŻĄCY i RADCA.

KONSTANTY (*sam*).

Ty chcesz szczerości, obłudna istoto!? —
I ja prosiłem takiego człowieka,
Ażeby dzieciom zastąpił anioła,
Co łzy osusza? Biedne, cóż je czeka!
Tu mię żal przykuł, ztąd — konieczność woła;
Ślepy los ciemne widma w duszy budzi.

(*Po krótkiem milczeniu*).

Alem źle zrobił szukając u ludzi
Rady w nieszczęściu; do rady są skorzy,
Ale nie wtedy gdy widzą ruinę;
Moja zaś kieszeń pustkami ich trworzy,
I w moim losie widzą moją winę,
A nie następstwo dziwnej ojca woli. —
Liczyć się trzeba ze światem i słowy,
Ażeby poznać co ludzi zaboli,
Gdy czuć przestaną... A więc własnej głowy
Rada najlepsza, gdy w czyn rychło wchodzi,
Bo jakiekolwiek — zawsze życie rodzi.

(*Idzie ku drzwiom i woła*).

Pójdźcie Tomaszu!

(*Wchodzi służący*).

Już się pożegnamy!
Znieście ten kufer, ja czekam u bramy.

(*Wychodzi naprzód, za nim służący. Radca wchodzi temiż drzwiami*).

RADCA.

Dokąd prowadzi takie zaślepienie!?
Uchodzi z domu... bez żalu uchodzi...
Jakby bez żalu. — Czy zabił sumienie?
Czy mu tak upor w oczach moich szkodzi,
I jam zawinił, a on jest bez winy?...
Więc mam się zgodzić na jego zamiary?...
Mam, dla miłości?...

(*Po chwili*).

A mój cel jedyny?...
Nie, nie, nie mogę zrobić tej ofiary!
Bo czyż ta jego lekkomyślność wróży
Szczęście dla niego? Rozsądku! rozsądku!
Bo mnie i sobie najgorzej usłuży. —
O, gdybym z młodu był go do porządku
Ściślej przyuczał!... Dziś, tam nieład w głowie;
O obowiązkach mów obywatela,
To jakby człowiek dziki ci odpowie,
I pierwszych w kraju znieważać ośmiela.

(*Przystępując do okna*).

Uchodzisz z domu? Nie pójdę za tobą!
Dla twego losu i karjery w świecie
Hardym być muszę, aż wrócisz z żałobą,
Aż mi dasz dowód, żem odzyskał dziecię.

(*Idzie zwolna ku drzwiom*). (C. d. n.)

Cmentarne.

Jak Kamieniec cały, tak i cmentarz jego ozdobiony pięknemi pomnikami, częstokroć bardzo cennemi, ma coś wschodniego w sobie. Gdyby nie to powietrze i niebo ojczyste, nie ten śpiew rodzimego słowika, rozumiałbyś, że czarodziejska siła przeniosła cię na cmentarz azjatyckiej części Stambułu.

Gęsto zasadzony drzewami, ozdobny rozmaitem kwieciem, cmentarz ten słusznie zwą: ogrodem umarłych, i tylko blizkość »Rajskiej bramy,« nie pozwala mu zostać najpiękniejszem miejscem przechadzki w Kamieńcu.

O g r ó d u m a r ł y c h dziwnie był pociągającym dla mnie — żywego! Wśród tych grobowców, samotny, lubiłem dumać nad własnym i nad innych losem. I lżej tu było mojej piersi, lepiej zbolałemu sercu. Może śmierć cicha lała balsam uspokojenia w biedną duszę... może umarli wymodlili chwilę ulgi w cierpieniu dla śmiertelnika, któren z gwaru życia szedł pośród nich szukać wytchnienia...

Noc majowa, cudna, jaką tylko na Podolu widzieć można, zastała mię na cmentarzu. Akacje upajały swą wonią, wietrzyk lekko kołysał łodygami kwiatów i liśćmi brzóz płaczących.

Byłem biedny, sieroce dnie życia znaczyły mi: krzywda i złość ludzka; dawałem serce, a w zamian dawano mi — szyderstwo... świat cały do gorącego tuliłem łona — a odpowiedział mi on chłodem zawodu, i mrozem nieczułości ściął wiośniane młodzieńcze uczucia... Na cmentarzu zapomiałem o cierpieniach, w niepamięć puściłem krzywdy... i znowu ujrzałem ten świat pięknym, ludzi godnymi, by ich kochać, żyć z nimi i za nich się poświęcić!

Cisza cmentarna, piękność nocy i śpiew słowika, który tęskną nutę przeplatał śpiewem upojenia zachwytu, podziałały na mnie zbawienie: czułem się — nawet szczęśliwym, i łza uspokojenia pojednała mię z życiem tu, gdzie cicha śmierć ma swoje siedlisko.

Machinalnie rzuciłem złzawionem okiem na grobowiec, w cieniu którego siedziałem od godziny. Na złamanej kolumnie białego marmuru błyszczał złoty napis: »Marja. Żyła lat 16.«

Prostota napisu uderzyła mnie. Sądziłem, że jaki znak dalszych udzieli szczegółów — napróżno! pomnik innego napisu nie miał. Po wyjaśnienie należało się udać do grobu, a grób był milczącym...

Wiatr powiewał liśćmi, księżyc srebrem światła okrywał naturę, słowik śpiewał swą tajemniczą piosenkę... Nikt i nic mi nie mówiło o Marji.

— Duszo dziewicza! — myślałem zadumany — Czyś w zaświaty uniosła ze sobą ból życia; czy może wolna od trosk opuściłaś więżące cię ciało, by ulecieć w bezmiar przestworza, w nieskończoność, w której wszystko istnieje, z niej biorąc początek, w niej znajdując swój koniec?... Marjo! widzę cię duchem: tyś była aniołem, lecz cię nie minął kielich goryczy... Spełniłaś go, i życie znikło, jękiem skargi lecąc do nieba; a na ziemi tylko prochu garstka, tylko ten głaz świadczący, żeś była, żeś się na ziemi zatrzymała chwilkę, w przelocie do światów innych, lepszych, godnych czystej dziewiczej duszy... Marjo, sierocy duchu pokrewny mi i święty! zejdź do mnie, pokrzep w zwątpieniu, nową wlej wiarę... Wzywam cię, przybądź! bom biedny, bo cierpię i żądny jestem pociechy...

W tej chwili usłyszałem za sobą cichy szelest, jakby wiatru powiew, i biała nieziemska postać, okazała się mym oczom.

Uczucie niewymownego szczęścia przejęło mię całego; w duszy brzmiał jakiś hymn anielski, serce zapomniało bolu. W zachwycie rzuciłem się na kolana przed z grobu wyszłą postacią, i błagalnie wyciągnąłem ku niej ręce.

Duch zbliżył się, owiał mię tak, że się w nim uczułem; powieki zawarły się same, i roskosznie zacząłem marzyć.

Wolny, szczęśliwy płynę w nieskończoność; słabość znikła, potęga we mnie i siła; przy mnie duch anielski. Dalej! dalej tak w zaświaty, razem do stóp tronu Boga, zlać się w hymn nieśmiertelności, w *Hosanna* aniołów!...

Mgły przejrzyste okalają się w kształt uroczy... Anielska twarz dziewicy wypływa z lekkich chmurek... Postać to, którą w snach moich widzę! postać, którą mam zawsze w duszy i na wieki! Zbliża się do mnie, kładzie rękę na ramieniu... i widzę te oczy — światło niebiańskie z rzewnym smutkiem patrzące w głąb' mej duszy, i głos zaczerpnięty z nieziemskiej harmonji, gdzieś z chóru aniołów dźwięczy:

— Samotny! Czego chcesz odemnie?

— Zabierz mię z sobą! — zawołałem — nie opuszczaj mię, bo mi biedno na tej ziemi samemu.

— Tyś tu potrzebny — zadźwięczał duch — by głosić prawdę, cierpieć za nią i dla niej umrzeć. Błogo cierpiącym, bo ich szczęśliwość wieczna.

Słowa te wionęły smutkiem w mą duszę.

— Żyć, cierpieć i umrzeć — jęknąłem. — A szczęście?

— Tam! — odrzekł duch poważnie; a jaką siłę zaczerpnąłem z tych jego słów, niechaj świadczy życie moje.

— Pójdę i umrę — odrzekłem z spokojem.

— Błogosławię cię, umacniam i czuwać będę nad tobą — mówił duch w mgłę rozwiejając się.

— Wstrzymaj się! — krzyknąłem żałośnie. — Powiedz: kim jesteś? bym wiedział czyjego wzywać imienia, gdy cierpienie ducha złamać zechce.

— Marja — wydźwięczał duch, ponownie przybierając kształt ziemski. — Co grób zamknął w sobie ja ci odkryję. Przejdę z tobą lata męczeńskiego żywota, i to już będzie ostatnia kara za grzech jedyny a najcięższy, bo — samobójstwa.

»W trzynastym roku życia zostałam sierotą — samą, samą na świecie. O, źle bez ojca i matki, źle sierocie bez opieki dobrych ludzi! a mnie otaczały serca zimne, dusze nikczemne, które żyły cudzą krzywdą i w cierpieniu innych widziały swoje zadowolenie.

Młode serce żąda uczuć podziału, dusza szuka duszy... a mnie odpychano szyderstwem, miłość ludzi i świata nazwano grzechem; wyśmiano, boleśnie wyśmiano dziecię, wierzące w dobro-piękne, w szczęśliwość... Odepchnięta, wzgardzona, zamknęłam się w samej sobie; wrzące uczucia pochowałam głęboko, i ostrza bolu za młodu wpajały się w serce, sącząc krew ofiarną, a dusza więdła, i szron przedwczesnej starości okrywał kwiat uczucia. Ludzie biedne dziecko nazwali dumnem; obojętnem, gdy go trawiła żądza rzucenia się w objęcia świata; wyrachowanem tę, która co jest liczba nie wiedziała. I smutnie dnie schodziły, łzawe, okropne... Dla mnie nikt serca nie miał, nikt szczerego uczucia; nawet skąpiono mi uśmiechu, mając za złe, że weseli mię słońce, rozwesela kwiatek i świegot ptaszyny... Dwa lata życia bolu nie złamały duszy, nie zabiły ciała; serce nie obróciło się w kamień... Bóg jako najwyższe dobro dał ludziom miłość — tej mi odmówiono! Chciano zabawy, grzechu i wieczystej zaguby. Świat dla mnie był złym ojczymem, i byłam biedną, bardzo biedną!... Ludmir pierwszy przyszedł do mnie ze słowem serca, pierwszy uszanował we mnie godność kobiecą. Był wdowcem, znacznie odemnie starszym, kochać go nie mogłam; ale mi był drogim jako jedyny, który uwierzył, że mam serce, że jestem kobietą... On tak pięknie mówił o uczuciu, tak rzewne łzy wylewał płacząc straty swej żony, którą nie przestał kochać po śmierci; matka jego przyjęła mię jak córkę, otoczyła opieką, otworzyła serce... Jak spragniony do źródła, rzuciłam się w otwarte ramiona, duszą zlałam się z duszą tej drugiej matki,

i uczułam się szczęśliwa po raz pierwszy od czasu mego sieroctwa.

Czyliż podobna było żywić nieufność do tych dwojga którzy jedni z całego świata zbliżyli się do sieroty?...

Ludmir był biednym; wszystko co moje było na jego usługi; czułam się szczęśliwą, że mogę w czem dopomódz ludziom, którzy mi nie odmówili serca. Nie wiedziałam co mówi świat — dwadzieścia lat różnicy wieku pomiędzy mną a Ludmirem, obecność jego matki wystarczały, by i najzłośliwsi umilkli. Tak sądziłam.

Bóg mi pozwolił zakosztować niewysłowionego szczęścia: pokochałam młodzieńca, którego wybrało serce, on mnie nawzajem — byłam najszczęśliwszą!

Miłość w niczem nie zmieniła stosunku mego do Ludmira i jego matki. Do tej rodziny trojga przybył nowy członek, mój drogi Miron, z którym wkrótce miały nas połączyć dozgonne śluby.

Bóg nie chciał mego szczęścia — szatan postanowił mię zgubić.

O! są wspomnienia straszliwe, na które nawet z ciał wyzuci wzdrygać się muszą... Nie dziwże się, iż drzę w tej chwili.

Dniu okropny! nawet szczęśliwość wieczna nie zdoła cię wygnać z mojej pamięci!

Byłam samą w pokoju, gdy wszedł Ludmir — zmieniony, jakim go nie widziałam nigdy; jego wzrok dziki i twarz rozogniona przerażały mię; ale widok siwiejących włosów, wspomnienie żony, której kochać nie przestawał, rozsiały mimowolną trwogę.

Wszczął rozmowę; dziwną, jakiej nigdy nie słyszałam... nie zrozumiałą dla mnie, a okropną!... Twarz jego zdradzała tak wielkie cierpienie, taki ból widniał w nim całym, że z płaczem rzuciłam się ku niemu, pytając: co mu się stało? czyli nie będę w stanie przyjść mu z pomocą? Odpowiedział, że ja tylko mogę go wyratować, że w tej chwili mam w mojem ręku losy jego życia i śmierci.

Krzyknęłam przerażona — zabójczy sztylet błysnął w ręku Ludmira.

— Bądź moją! lub w oczach twych utopię sztylet w mem sercu — wykrzyknął. — Tyś potrzebna do mego szczęścia, do mego życia — dodał, przykładając ostrze do piersi.

O, czemużem broni tej nie wyrwała z rąk nikczemnika, by w własnem utopić ją sercu!

Ale ja krwi nigdy nie widziałam... a myśl, że mogę być przyczyną samobójstwa pozbawiła mię zmysłów. Nie pamiętam co się ze mną działo; gdym przyszła do siebie — byłam zgubioną.

Nikczemnik tulił mię do swej piersi i wołał:

— Teraz już jesteś moją!... teraz nie będziesz żoną Mirona!

Wyrwałam się z szatańskich objęć. Bóg mi skrzydeł nie dał; wysokość trzech piąter posłużyła do rozbicia czaszki o bruk ulicy.

Samobójczyni, wypełniłam już pokutę, i idę do Pana mojego po nagrodę za cierpienia. Ciebie błogosławię na obrońcę sierót, pozbawionych opieki .Idź i broń je!

— Marjo! — rzekłem skruszony. — Błogosławię namaszczeniu na obrońcę biednych samotnych kobiet! — Znam ja nieszczęśliwą, którą los twój spotkał; a sroższy bo się ze śmiercią nie skończył, tylko powoli ogniem cierpienia trawi życie... Pójdę i zostanę jej bratem, bo ją cały świat odstąpił.

— Uczyń to — rzekła postać, mgłą się rozwiewając.

. . . .

Uroczysta nóta *Requiescat in pace* obudziła mię ze snu. Na marmurze, o który głowę miałem opartą, w blasku wschodzącego słońca, jaśniał napis: »Marja. Żyła lat 16.« Ksiądz szedł za ubogą trumną. Ukląkłem, odmawiając z innymi Anioł pański. Duchowny pokropił dom wieczysty, i rzekł do przytomnych: Módlcie się za duszę nieszczęśliwej Heleny. Jest to ofiara przewrotności ludzkiej, której prawo światowe nie dosięga, ale Bóg sprawiedliwy surowo ukarze.

— Ojcze! — rzekłem — tę garść ziemi z jej mogiły wezmę, i cisnę ją w oczy zabójcy!

Pokój biednym duszom — kara zabójcom duszy!

. . . .

PIERWSZY POCAŁUNEK. *)

Sama nie wiem, co się ze mną dzieje?
Nie wiem, czy to we śnie, czy na jawie?
Jakaś fala ciepła w pierś mi leje
Słodycz dziwną, och, anielską prawie...
Do ócz łzy się cisną, te natręty...
Jeszcze płakać będę, Boże święty!

Bo doprawdy trudno temu wierzyć
Co się stało tutaj, tu, przed chwilką!
Łzawe oko chciałabym rozszerzyć,
Żeby dojrzeć, czy nie złuda tylko?...
Och nie, to nie złuda!... czuję jeszcze
Od ust jego cała słodkie dreszcze.

Zaraz ja przypomnę, jak to było:
Na tej ławce on tu siedział ze mną...
Rannym blaskiem niebo nam świeciło,
Kwiaty słały ku nam woń przyjemną
W górze jabłoń biało przyodziana,
Kwiat nam swój rzucała na kolana.

A w ogrodzie co hałasu, śpiewu!
Nie pamiętam tak hucznego maju!
Tryska ptasi dźwięk z każdego krzewu,
Słowik zleciał z pobliskiego gaju —
Więc śpiewało wszystko nam dokoła,
Nie posłyszeć nawet, gdy kto woła...

On był jakiś zadumany, cichy
Uroczysty, ale taki miły!

---

*) Wiersz ten napisany dla pani Nowakowskiej był przez nią deklamowany na koncercie p. Walerego Wysockiego.

Zrywał kwiaty, patrzał im w kielichy,
Jakby bolał, że są tak bez siły,
Że nic nie umieją tylko zdobić.
Ja milczałam; cóżem miała robić?

Aż on wreszcie rzekł, głos tłumiąc męski
I nie patrząc na mnie, lecz na kwiaty:
„Dziwny los tych kwiatów! to zwycięzki
Pochód wieńczą, to mogilne straty —
Ale więdną wieńce chwały, gasną
I mogilne w dnia zadumę jasną...“

Chciał coś mówić dalej, nie powiedział,
Tylko na mnie zwrócił ciche oczy —
A jam nań patrzała; bo któż wiedział,
Że on ku mnie wtedy wzrok zatoczy...
Więc spłonęłam, ale wzrok pozostał
Przy nim, jak ptak, co się w sidła dostał.

Ach! to wtedy ku mnie nachylony
Ujął rękę mi; (płonęłam wszystka!)
I na dłoni złożył rospalony
Pocałunek (drzałam na wzór listka!)
I powiedział: (Dobry Boże w Niebie!)
On powiedział mi: „Ja kocham ciebie!“

Nie wiem, co się wtedy stało ze mną,
Jakbym się w promienie gdzieś rosprysła!
Naraz oko zaszło mi mgłą ciemną...
O mój Boże! czuję, żem zawisła
Mu na szyi, i że usta moje
Z jego usty... Straszno, ja się boję!

Nie pamiętam jeszcze takiej trwogi,
I roskoszy takiej nie zaznałam —
Ale czym ja winna, Boże drogi?
Że tak będzie, ja nic nie wiedziałam!...
Pójdę się pomodlić: miłościwa
Matka mi przebaczy, żem szczęśliwa.

Bo ja nie wiem, co się ze mną dzieje,
Nie wiem, czy to we śnie, czy na jawie?
Jakaś fala ciepła w pierś mi leje
Słodycz dziwną, och, anielską prawie,
Do ócz łzy się cisną, te natręty...
Jeszcze płakać będę, Boże święty!

J. T.

Przed laty tysiące.

Pogodne niebo nad Polan krainą, i kraj ich zdobny we wdzięki przyrody.

Żyźne doliny legły wielkim łanem; wody przejrzyste, a drzew zieloność w zawody bieży z szafirami nieba.

Na łąkach — kwiatów przecudnych wiązanki, i woń w około, i dźwięczenie w koło, a przestwor cały gra jeden wielki hymn szczęśliwości.

Świergotliwego ptactwa rodzajów nie zliczysz; w lasach źwierz nieszkodny żyje z ludem pospołu, któren tę ziemię zamieszkał od wieków.

A lud w miljonach, — co jest zdradą? nie wie! Grzech między nimi przybytku swego nie ma, westchnieniu boleści pierś ich obca i serce, dusza śni błogo, w pieśń ukołysana na czarownej przyrody łonie.

Kędyś daleko, gdzie się słońce kładzie, i w równej dali, kędy ze snu wstaje — łzy cieką wielkie, i jęczenia słychać; i gdzie wiatr wieje z północy śnieżystej, i od południa, kędy ptak przeciąga — chmurne są czoła i pierś okryta twardą odzieżą, że serca trudno dopatrzeć w tej piersi. Tam płynie krew i ogień zniszczenia jest sługą. Tu — cisza w około i błogość rozlana w przestworzu, tu wody płyną świetlane i pieśń po łąkach przebiega rozgłośna; tu Bogi żyją z ziemiany pospołu; tu raj, tu ziemia nasza rodzima!

Dojrzałym kłosem kłania w polu zboże, pszczółka do ula kładzie miodów słodycz, rumiany owoc uśmiecha się w sadzie, nie strzeżona trzoda trawy je na łące.

Na wzgórku, pod lasem, siedziba człowiecza: drzewami chata omszona od starzy; przestronna świetlica z ogniskiem u środka; dębowe ławy czekają gościny; domowe Bogi uwieńczone kwieciem.

Przed chatą przyzby usypane z ziemi; farb malowaniem była glina swojska; lipa szumiąca daje cień rzeźwiącą, wonią napawa i usypia szumem; gniazda jaskółcze długim rzędem lipną; wróblów gromada w strzesze ma mieszkanie; na chacie bocian złożył gniazdo rodu, i rok po roku znajduje nietknięte: wyciągnął szyję, i klekocze, mówi... Na gumnie chleba stogami i w stercie; pług legł pod śpichrzem i rozmawia z sochą.

Pod lipą, kołem, rodzina słowiańska.

Na miejscu pierwszem — głowa rodu — Metko.

Sto i pięćdziesiąt lat patrzyły oczy; drugiego wieku, niewidząc, dożywa; włos brody białej spływa mu do pasa, a twarzą czerstwy, i głos dźwięczny jeszcze.

Przy nim syn jego, stoletni Miłowan: chleb łamie i miodem obdziela swe wnuki; a wnuki synowie Swietonia. Ich sześciu, jak młode jasiony.

I córkę ma Świetoń — Kalinę.

Najmłodsza, a wiosen szesénaście ją krasi, i do wiosny Bogini podobna.

Na babki swej Kwiety ramieniu oparła swą jasną główkę, i patrzy w pradziadka oczy zamknięte, a Metko widzi ją okiem duszy i Bogom poleca.

Słońce, zachodząc, leje światło strugą, przez liście lipy wypada, i promieniami ozłaca siedzących.

Przed nimi kłoda olbrzymiego dębu, chustą śnieżnej białości okryta: owoce, mleko i miodu plastry, chleb żytni, dla starca z jęczmienia polewka.

Pożywają w spokoju, i gronem całem słuchają opowieści Metka.

A starzec słowa powtarzał pradziadów: jako i oni tak spokojem żyli i wieki całe swoich Bogów chwalą; a tylko starzy, co przeżyli mnogo, umieli mówić o dalekim kraju, z którego Bogi wywiedli ród Sławy, by osiadł ziemię od morza do morza.

Mówił i o tem Metko: jako w jego czasy i w jego ojców młodociane lata żyli rodziną Słowianie, i w **gontynach** bogów szli widzieć i darzyć; że jako dzisiaj, rzą-

dzono się wiecem, a od potrzeby zchodzono starszyzną, i wolę starszych słuchano w krainach.

Mówił, że i w dali, po nad wielkie wody: takie co płyną po miesiącu drogi, i takie, co stoją okrążone ziemią, i inne, którym ni spodu, ni kraju, że i w lasach wielkich i w górach wysokich — żyją Słowianie rodami, i mowa ich jedna, i obyczaj jeden, a Bogów mnogo, i wszystkim cześć należy bo — Bogi.

I mówił tak starzec pięknie i ciekawie; gromadka słucha uważnie i naukę chowa, by ją drugim udzielić w przyszłości, by wnuk swym wnukom umiał opowiedzieć, co mu w swym czasie mądrze mówił pradziad.

Najmłodszy z prawnuków — Żyteń mu na imie — pytał pradziadka: czy i w dalekiej krainie lasem wypasają trzody? — to on by woły pognał w tamte strony, i ludzi rad widział, i obaczył ziemię... Trzeci z porządku czarnooki Siłko wątpił, by gdzieindziej tak kłosiste wyrastało żyto, by taką młotną źbierano pszenicę. Jasot co pszczoły doglądał, i z dziadkiem ule wystawiał po lesie, by rój przelotni nie osiadał stroną — chciał by z najmłodszym — Kraską — pójść w dalekie kraje... I dwóch się do nich przyłączyło jeszcze: pytają starca o drogę w krainach.

Wszczął się gwar i żywsza rozmowa w rodzinie.

Metko miał uśmiech błogości na twarzy, i błogosławił rodzinie swej zbożnej. A Kwieta, patrząc w modre oczy wnuczki, czule Kalinę zadumaną pyta: czy nie ochocza w drogę z swoją bracią?

— Dobrze mi tutaj — odrzekła dziewica — Rodzinnej ziemi nie ma za rodziną; tam was nie znaleść, i mych kwiatów nie ma. Niech, gdy chcą, idą — mnie z wami pozostać.

— Twe słowa Bogi słyszeli, Kalino! Ja błogosławię twojej mowie zbożnej — rzekł Metko, ręce na jej głowie kładąc.

— O, czemu-ż tutaj nie ma twojej matki! — szepnęła, łzami zlewając się, Kwieta.

Świetoń westchnął i oczy zwrócił w stronę Bogów.

Łzy Kaliny spływały na kolana pradziadka.

— Poco tak smutnie wspominasz ją? Kwieto! — rzekł starzec poważnie.

— Strzeż się smucić ducha, bo duch jej tu, z nami. Ciało na stosie spaliliśmy świętem, bo ziemią było i poszło do ziemi. Nie płaczcie straty, bo nic nie stracono. — I pocałował prawnukę w jej czoło bieliste.

— Pokój z tobą!

Po tych słowach uroczysta cisza zapanowała pomiędzy rodziną, aż ją Miłowan przerwał rozkazem danym synowi:

— Spojrz, Swietonie. Czy gościa szlą nam wielkie Bogi?

Świetoń spojrzał, a dostrzegłszy w stronie lasu trzech podróżnych odpowiedział:

— Prawdą. Nieznani to ludzie.

— Tem większa cześć się im należy — rzekł Metko, i skinął na syna.

— Podnieś mnie, Miłowanie, bym uszanował gościa.

W tej chwili podróżni zbliżyli się o kilka staj od chaty. Świetoń wyszedł na ich spotkanie, i wiódł przed starca.

— Pozdrowienie domowi, i błogosławieństwo Bogów — rzekli przybyli.

— Niech wam zapłatą, za progów gościnę! — mówi na to Metko. — Witajcie! — A zwróciwszy się do rodziny rzekł:

— Zdejmcie z podróżnych noszę ich, i z prochu otrzepcie obówie, niech zbożnie z nami u stołu usiędą.

Podróżnych trzech było: dwóch o siwym już włosie, trzeci był młodzian do-trzydziestej wiosny.

Gęsle swe do rąk oddali gospodzie, umyli twarze, cześć oddając Bogom, siędli do stołu gotowego dla nich.

Nikt nie uważał, że przybyły młodzian stanął zapatrzony w nadobną dziewicę, która w rumieńce wstydliwości płonie, i w kraju zwierzchnej swej osłony szuka przed spojrzeniami jego uchowku: białą nić żywiej przesuwa palcami, a mimowoli spojrzy na młodziana.

A gdy mu wodę na ręce lać przyszło — tak to jej trudnie było i niezwykle, jak nigdy jeszcze nie było z Kaliną...

— Miejsce me z gości starszemu oddaję — rzekł Metko, podróżnych witając u stołu.

Nie dozwolił tego najstarszy z przybyłych, i rzekł do Metka, sadowiąc go zwolna:

— Po was mi siedzieć, starcze Bogom miły! bo kogo w takim uchowują wieku — snać Im tu trzebny, by z nami obcował.

— Niech że was Bogi obdarzą starością, boście ją w innych uszanować zwykli. — Gośćcie się chlebem, co go Bogi dają.

Siędli przybyli, biorąc się do jadła; tylko najmłodszy nie patrzy do misy: i chleb mu nie w smak, i miód nie tak słodki, bo jego oko tonie w licu dziewy — nad miody słodsze spojrzenie Kaliny! ono go syci bardziej, niźli chleby.

Cała rodzina służy gościom, chętna; najlepsze jadła wynoszą z komory, sycone miody leją w drzewne kubki.

— Żywcie się, prosim; ugaście pragnienie.

Innej rozmowy nie było, bo gości, których Bogowie zsyłają łaskawi, najprzód nakarmić i napoić zwyczaj; później rozmową bawić i słowami.

— Najmłodszy z gości — zauważył Świetoń — coś nie rad jadłu: snać chce krzywdy naszej.

— Niech Bogi strzegą! — odpowiedział młodzian. — Zwykłem się żywić niewielkim pokarmem. Chleb i owoce spożyłem dostatnio.

— To kubkiem miodu dopełnijcie strawy. Kalino! sytą napełń kubek gościa.

Kraśny rumieniec oblewa Kalinę, kraśnieją lica hożego młodziana.

Drżącą mu ręką leje miód do kubka, a oczy w ziemię opuszcza wstydliwie.

— Pijcie nam, gościu — przemówiła zcicha.

— Z rąk waszych dziewo. Niech wam szczęscą Bogi.

I spełnia kubek.

Kalina korny do ziemi ukłon oddaje za łaskę, i okiem w oko młodziana spojrzała.

Nito dwa gromy strzeliły ku sobie, dwa dźwięki gęśli w jeden się ton zlały. Młodzian i dziewa czują roskosz duszy.

Spożyto strawę; pokłon dano Bogom. Pokłon gospodzie oddają podróżni.

W około spojrzał najstarszy z przybyłych.

— Słyszeli-m w rodzie, że są kraje inne, że ludzie inni i nie nasi światem; a oto idziem trzydziesiątą dobę i wszędzie ziemia, jako nasza, kraśna, i słowem z Bogi witają nas wszędy.

— Gdy ku wschodowi pada wasza droga — starszemu na to odpowiada Metko — to drugie tyle wzejdzie jeszcze słońce, a mieć będziecie powitanie słowem. Dalej już trawy, a w nich źwierz wszelaki, a dalej jeszcze — lud, co sochy nie zna.

— Ku nim to droga pada nam nie znana.

— Niech strzegą Bogi, bym chciał tajny waszej; lecz może wola? to i nam powiedzcie — bo nie rad człówiek rzucać rodów strony, by iść w tak wielką, nie rodzimą, drogę.

— Nie mamy tajni, i chód nam z wysłania, bo myśmy rodem z Pomorskiej krainy, kędy się rzeki wlewają do morza.

— Od ojców moich słyszałem mówienie: w tamtych krainach bywali na s c h o d z i e.

— Toż z w s z y s t k i c h woli idziem w dalszą drogę. Starszyzna chętna znać o tych krajach, i ludów mowę i zwyczaje wiedzieć. Z woli starszyzny idziemy w posłaniu: ja Strzygoń, z Łętką samsiadem od roli, i z nami Wiesław, wśród młodzieży pierwszy, bo mądrość Bogów weszła doń za młodu.

— Strzygoniu, Łętko i Wiesławie młody! — na przemówienie odpowiada Metko — Jako za rodów wysłaniem idziecie, tako was Bogi niechaj wiodą szczęśnie! A mnie Ich chwalić, żeście chleb mój jedli. Witam was wtórnie, i pozdrawiam słowem!

Ukłonem ukłon oddają podróżni, a Metko dalej powiada przybyłym:

— Kto z wielkiej drogi na wielką podąża, temu spocznienie potrzebne, i wolne. Goście miłośni! pozostańcie z nami. I wypocznienie przyda się po drodze, i my tu święto świętujem Kupały, to i wy z nami cześć oddacie Bogom.

Słów starca radzi słuchają podróżni.

Chętni są święto świętować Kupały; więc przyzostają na dni trzy u Metka, i siedli kołem i rozmowę wiodą.

Najbardziej radzi z zostania — to młodzi.

Wiesław Kalinę będzie widział trzy dni; dziewica płonie na myśl o zostaniu: a w piersi serce uderza pośpiesznie, i błogość jakaś owładnęła dziewą.

Starsi rozmowę między sobą wiodą; Syny Swietonia grają się w oddali. Wiesław z Kaliną — mówią nie przemówią!...

Gwiazdki wybiegły na błękity nieba, księżyc z za lasu wypływa świecący, cisza urocza owładnęła ziemią.

Strzygoń o graniu Wiesława napomknął.

Więc do Wiesława zwracają się słowem, i stary Metko chętny słuchać grania.

Spłoszona para przestaje rozmowy.

Kalina gęsle Wiesława podaje, i już mu w oczy spojrzeć się nie sroma, i słodki uśmiech ma na kraśnych ustach.

Wiesław z rąk dziewy bierze gęsle wieszcze. Strony potrącił; w dziewicy twarz patrzy: gra, przyśpiewuje siły pełnym głosem.

A śpiew i granie do duszy przenika. Starzy i młodzi słuchają Wiesława.

Metko roskosznie ociera łzy duże.

Kalina cała zatopiona w głosie i w pięknem graniu młodego Wiesława: niewinną duszą gdzieś z Bogi przebywa.

Ukończył granie; u nóg gęsle kładzie. A wszyscy jeszcze słuchają tych głosów, co w duszy cudną jakąś pieśnią dźwięczą.

Zbliża się Wiesław do młodej dziewicy.

Kalina ze snu zachwytu się budzi. Starsi poczęli chwalić śpiew i granie.

Metko Wiesława przed siebie zawoła; ręce swe kładzie na głowie młodziana, i błogosławi jego dniom przyszłym.

Wkrótce na spoczynek udali się starsi. Młodź chętna jeszcze pogwarzyć w swobodzie. A długo w nocy słychać śpiew Wiesława, jako po rosie płynie z wtórem gęsli.

Noc go świetlana nasłuchiwa pilnie, i słowik zaprzestał miłośnej piosenki.

Kalina śpiewu słucha całą duszą, a serce w piersi nierówno uderza.

*

* *

Nazajutrz dzień cały minął na rozmowie.

Metko przybyłym mówił o swym rodzie: o Polan ziemi, różnych ich zwyczajach: jako zaślubin mają obrzęd zbożny, a umarłego ciało palą ogniem i popiół w garnki gliniane zsypują, garnki do ziemi kładą w spód dwa łokcie, i zboża garstkę i jeden plastr miodu, by duch częstować miał czem goście swoje; jako dziecinę nowonarodzoną wieńczą kwiatami i niosą do gaju, a poźniej imię dają prawowite.

Podróżni także mówili o swoich, i o gontynie wielkiej na ostrowie, kędy Słowianie zchodzą się z wszej ziemi, a Bogi przykaz dają im plemieniem, co posłuch mają w całym rodzie Sławy; o swych zwyczajach mówili też długo, i o tem: z ludy jakimi obcują? co to jest morze, jako na niem żyją, co z wody mają, i co ziemia daje?

I tak mówiono do wzejścia księżyca, — wtedy się kładli na spocznienie nocne.

Wiesław, Kalina — dzień cały ze sobą, i wiele rzeczy umieją powiedzieć; a chociaż milczą — przecież mówią jaśnie, bo oko słowem i serce rozmową!... a słońca promień, drzący blask księżyca -- wszystko im mówi, czemu dusza chętna.

Wiesław na gęsli gra i przyśpiewuje, Kalina z kwiatów splata piękne wieńce i niemi zdobi Wiesławowe czoło, — a młodzian tonie w spojrzeniu dziewicy i biciem serca odpowiada sercu.

Księżyc wysoko wzbił się na błękity, wóz się obrócił — wszyscy śpią w rodzinie.

A słowik śpiewa — strumykom wtórzenie — i słowik słyszy zcicha szepty, słowa...

Strzeliło słońce złotymi promieńmi; budzi się ziemia, ptactwo pieśni śpiewa, z za rosy kwiatek pije ciepło życia.

Wielki dzień dzisiaj u słowian Polańskich — Kupała święto, wielkie świętkowanie: starcom podzięka za przeżyte lata, a młodym wieszczba: z kim dożywać wieku.

Za słońca wschodem powstawali w rodzie; w przejrzystem źródle omywają twarze, lnianą bieliznę kładą na się wszyscy.

Metko dziś liczy na setka swe goście, bo mnogie rody zbiorą się tu społem, by w lesie świętnym oddać pokłon Bogom; a las święcony jest pod Metka strażą, jako naokoł najstarszego w rodach.

Wiesław w świąteczną odzież przystrojony: czysta bielizna zlewa się fałdami, biodra przejmuje pas z kraszonej wełny, na ramie lekko rzucił czarną świtę. Stanął i patrzy na wschód słońca jasny.

W chwili zapomniał o słonecznej krasie, niepomny czyli na świecie jest jeszcze — dostrzegł Kalinę ustrojoną świętnie: w ręku ma kwiatów przepięknych wiązankę, i sama kraśna jako dnia jutrzenka przez długie rzęsy patrzy modrem okiem!

— Dnia wam dobrego, gościu nasz miłośny — a sama płonie jak owoc kaliny.

— W odświętne kwiaty przychodzę was stroić.

Wiesław w milczeniu uchyla swe czoło; dziewa drząc kładzie wieniec mu na głowę, a okiem nie śmie spojrzeć na młodziana.

Chwila milczenia. Wiesław ją przerywa.

— Kalino! — wyrzekł, i przestał mówienia. I znów po chwili rzekł słodko: ›Kalino! — Tu się już oprzeć dłużej niepodobna: rzęsy ócz dwoje odkrywają modrych, spojrzenie dziewy w jego oku tonie, a bicie serca wznosi łono śnieżne w płótna okryte, że ino kształt widno!...

Rojno i gwarno, a świątecznie wszędy. Domowe Bogi uwieńczono kwieciem, w strzesze gałęzie świeże zielenieją, w wianki ruciane zdobne rogi bydła.

Cała rodzina pod lipą usiada; z nimi przybyli dwaj z Pomorskich krain; Wiesław z Kaliną stoją na uboczu, i bardziej duszą niżeli słowami, i okiem więcej niżeli przez usta cudną rozmowę między sobą wiodą.

Po długiej chwili wpadł zdyszany Siłko.

— Rody od pola! — zawołał wesoło.

Z lasu wypada Jasot ciemnowłosy.

— Zaleśne rody już są tu na drodze!

— Wstańmy — rzekł Metko — powitać przybyłych.

Z dwóch stron przeciwnych wyszło ludu mnogo: poprzód dziewice szły ubrane w bieli, wieńcami strojne, niosły kwiaty w ręku. Młodzieńce, w odzież ubrani odświętną, w ręku gałęzie nieśli jasionowe. Za nimi męże zboża niesą zżętki; kobiety mleko i owoce w koszach starcy poważnie kroczyli z gęślami. ;

Rody od pola zaśpiewały pieśnią, i w gęśle grają przecudownem graniem; Zaleśni wtórzą im śpiewem i dźwiękiem.

I w Metka rodzie ozwały się gęśle, i pieśń się z tamtych pieśnią połączyła.

Przed dom na błonie wyszli w Metka rodzie; z rodem przybyłych łączą się śpiewając.

Starce na czoło występują biali, pokłon Metkowi oddają głęboki; męże i młodzi także mu kłaniają: Metko najstarszy wiekiem i znaczeniem, — on strażcą gaju święconego Bogom.

Więc młodź i dziewy stanęli w dwa rzędy; gęślarze Metka wiodą pod ramiona; niewiasty, męże stąpają za nimi.

Płynie śpiew w nieba, z wtórem gęśli starszych, dziewy kwiatami uścielają drogę, i wszyscy idą do świętnego gaju.

W dziewic przewodzie stawiono Kalinę; Wiesław na czele młodych postępuje: on gość, więc czoło jemu się należy.

Gaj poświęcony szumi liściem świętym. Odwieczne drzewa witają przybyłych, schylają głowę i mówią swą mową.

Przed Bogów twarze stanął stary Metko; modlitwę mówi, zchyla głowę kornie.

Z suchych gałązek złożono stos wielki; w wieńce stos stroją dziewice; młodzieńcy gałęzie kładą przyniesione z sobą.

Metko oblewa miodem stos ofiarny, na cztery strony kładzie zżętki zboża, środkiem jałowiec sypie woniejący; ogień święcony bierze z rąk Kaliny, i stos zapala, w cześć łaskawych bogów.

Zagrały gęsle, pieśń o niebo bije. Na stos swe dary każdy kładzie chętnie, i stos się pali wielkim ogniem gore, a śpiew i granie płyną w niebo modła.

Gdy spłonął ogniem stos ofiarny Bogom — każden wziął szczyptę popiołu ze sobą, (bo wielką moc ma ten poświętny popiół); pokłony Bogom oddają trzykrotne, i Metko gaju zamyka zatwory.

Wszyscy znów idą z wesołemi pieśńmi.

Starsi do Metka poszli na gościnę; inni na łące przed chatą usiedli. Wszelkiego jadła podostatkiem mają; napoju skromnie zażywają starsi.

Dziewice razem usiadły na trawie; opodal młodzi patrzą ku nim mile. Starsi, swe młode pokolenie widząc, o czasach przeszłych z wesołością gwarzą.

Dzień cały spłynął na spocznieniu wszystkich: westchnienia nie ma, jeno śmiechy, żarty!... Tu gęsle grają tam śpiew męzki słychać; ówdzie dziewice grają się wesoło; tamci rozmowy słuchają poważnej; ci patrzą milcząc, bo tak się im darzy; młodzi nawyprzed biegają po błoniu; — Wiesław z Kaliną, Kalina z Wiesławem!

Starsi i młodzi patrzą na nich mile.

›Kto ten gość młody?‹ pytają młodzieńce. ›Jaki dorodny!‹ wołają dziewice.

I dzień upłynął wszystkim na zabawie.

Oto błysnęła gwiazdka na błękicie. Wita ją okrzyk radośny młodzieży, w dziewiczych sercach drgnął niespokój luby — toć wieszczba: z którym? jak? dożywać wieku!...

Starsi rozmowy zaniechali swojej; patrzą na młodych, pomni na wiek młody.

Młodzież się w tany puściła ochocze.

A z dziewic pierwszą jest w tańcu Kalina — ona najskładniej umie wodzić kołem. Z młodzieży Serpko najlepiej uwija. Wiesław przystanął popatrzeć na tany.

— Toć jako u nas! — wykrzykuje głośno; i wbiegł do koła, i puszcza się w tany. — A Serpko przy nim, niby omłot zboża! Wiesław przód wiedzie w tańcu, między młodzią.

Zwinnej Kaliny dopadł rączkę małą; i w wiatr się wpletli i mkną w tańcu skocznym; a serce sercu odpowiada biciem, oko płomieniem za płomień oddaje — o! taki taniec jest nad wszystkie tany!

Stanęli młodzi, patrzą na tańczących; starzy z roskoszą widzą i młodnieją; aż wielkie: »sława!« zagrzmiało naokół.

Kalina w roskosz omdlewa, i okiem mówi, że dosyć będzie — a nie dosyć jeszcze!...

Wiesław zmęczenie widzi jej, więc zwalnia szybkiego tańca; wiedzie między dziewy hożą Kalinę, i tam ją zostawia; niewiastom, mężom daje pokłon słuszny, i między młodzież wstępuje do koła.

Młodzi go szczerze witają; i starsi kołem młodziana ostąpią, darząc słowem uprzejmem i przyjaźnym wzrokiem.

A tu już ognie rozłożone gorą; muzyka, śpiewy i gwar naokoło.

Ten się obawia przez ogień przeskoczyć; inny się popiekł, upadłszy w ognisko; tamtemu węźej zgarnięto — przeskoczył — goni za dziewą przez się miłowaną.

A pieśń Kupały chórem wielki płynie, i radość wszędy i szczęście naokół.

Oto największy rozłożono ogień. Która dziewica przez niego przeskoczy — ta warta męża; a mąż będzie zdarny, bo mu nielada trza przebyć ognisko!

Lecz coś nie widać ochoczej do skoku.

Inne przez mniejsze przechodzą płomienie, chętne mieć męża jaki się nadarzy.

I gore ogień, a ochoczych nie ma.

A naraz z tłumu dziewica wybiega.

— Kalina! — krzykli młodzieńce — Kalina! — I biegą za nią przeskoczyć zarzewie.

— Kalina! — dziewy wołają; a starsi: »Za wielki ogień dla młodej Kaliny!...

A ta jak strzała leci ku ognisku; daje skok chyży, i znika w płomieniach, a tylko białe powiewają chusty.

— »Bogi!« — wykrzykli. — »Przebyła!« — wołają — »Sława, a sława!«

Młodź w ogień za nią, lecz nikt za ogniskiem.

— Z drogi! ustąpcie! — woła Wiesław młody, i jednym skokiem przesadza płomienie; dopędza jeszcze bieżącą Kalinę; w objęcia chwyta, i drżącemi usty na ustach dziewy złożył całowanie...

*

* *

Nazajutrz Rody poszły w swoją drogę; i trzej podróżni poszli ku wschodowi.

Żegnał ich Metko, i w rodzie żegnano; ale nikt szczerzej nie żegnał Wiesława, jako Kalina, gdy jej rzekł: »Bądź zdrowa!«

Długo się młodzian oglądał z swej drogi; długo Kalina patrzyła za gośćmi...

Z łzą i westchnieniem wróciła do swoich...

Kijów, 1862 r. *Zorjan.*

Przegląd pism czasowych.

(Ciąg dalszy.)

Piśmiennictwo polskie w Galicji miało swoją niewolę Babilońską. Za owych czasów obłędu, kiedy rozumiano, że naród żyjący można przeistoczyć, mieć go takim, jakim mieć go chciano... za czasów centralizacji niemieckiej, grzechem było kochać mowę ojców, występkiem pracować nad jej rozwojem. Jeżeli wydanie kalendarza, lub książki polskiej było podówczas połączonem z pewnemi trudnościami, to niepodobieństwem zwać się mogła myśl wydawania pisma literackiego, chociażby najniewinniejszego. Pisarze bardziej zdolni źle byli widziani u rządu, i każdemu z nich odmówiono by koncesji, którą otrzymać mogli tylko ludzie dający gwarancję, że nie zechcą i nie będą w stanie przeciwdziałać stanowczo przyjętemu kierunkowi rzeczy. Z owych czasów szermierzem jest **„Przyjaciel domowy“** pana Stupnickiego, pismo, które jednych może śmieszyć, drugich gorszyć, ostatecznie jednak dla wielu było w swoim czasie tak potrzebne, jak kalendarz. Niepodobna odmówić zasług wydawcy. Nie literat, nie polityk przez lat kilkanaście wydawał on pisma literackie i polityczne, i jeśli sam nie zrobił wiele, tedy wywołał przynajmniej ludzi, którzy przez niego rozpoczętą rzecz dalej prowadzą, jak n. p. „Gazeta narodowa.“ Wydawca „Przyjaciela domowego“ miał w sobie wiele zmysłu praktycznego. Jest w Polsce spora liczba ludzi, dawniejsza szlachta drobna, dziś: oficjaliści lub właściciele niewielkich posiadłości, których charakterystyką: prostota, a gruntem: poczciwość, rubaszna — lepsza jednak od maskowanej obłudy... Część ta narodu o tyle różni się od ludu, że ma zeznanie swej polskości i jest piśmienną. Najlepszą więc cząstkę obrał sobie pan S. bo ludzi, którzy nie są pozbawieni miłości ojczystej, a nie żywią wymagań klasy oświeceńszej. Jakoż wydawca nigdy się troszczył: czem zapełni łamy „Przyjaciela domowego“ — bo wiedział z góry, iż wszystko, co da swym czytelnikom dobrem dla nich będzie, byle: nie zbyt mądre i nie wrogie polskości i katolicyzmowi. Na resztę miał redaktor wydaną sobie *carte blanche* przez swych czytelników, i jak mówiliśmy, nigdy go głowa nie zabolała: co zawierać będzie numer jego pisma. Był rękopism — Bogu chwała! nie było — mniejsza o to. Redaktor brał pierwszą lepszą książkę i przedrukowywał ją z czystem sumieniem, przed nikim nie tłumacząc się z swoich czynności. A zdarzyły się nawet rzeczy takie, że jedna i ta sama powieść, przez niedopatrzenie, d w a r a z y była drukowaną w „Przyjacielu domowym...“ Krytyka podówczs nie interesowała się wielu rzeczami, więc i „Przyjacielem domowym;“ rząd był zadowolonym z jego niewinności, czytelnicy wiedzieli tylko, że składane numera formują roczniki pisma... literatura, oczewiście nie miała z „Przyjaciela domowego“ żadnej korzyści, a na karb z a s ł u g i w y d a w c y t o c h y b a p o l i c z y ć n a l e ż y, ż e c h o c i a ż j e g o p i s m o czytali ci, którzy nie interesowali się niczem więcej, krom kalendarza i książki do nabożeństwa.

Lecz czasy się zmieniły. System Bachów i Szmerlingów upadł, gruzami zawaliwszy Monarchję, których uprzątnienie niemało będzie ją kosztować; literatura podniosła głowę, dziennikarstwo stanęło inaczej, czytelników przybyło; czas ich wykształcił o tyle, że zaczęli poznawać niedostatki „Przyjaciela domowego“ i z obojętnością pożegnano pismo, gdy żyć przestało przerodziwszy się w „Tygodnik lwowski.“ Ale jakże to

trudno zerwać z przeszłością, jak nie łatwo iść z postępem! Umysły najświatlejsze często bardzo nie są w stanie zrozumieć chwili bieżącej, i chętnie cofają się do przeszłości, w niej widząc swój odbieżony ideał!... nie dziw więc, że i pan S. zatęsknił za lepszą przeszłością, za swem dziecięciem i z grobu go wydobył. Ale nieboszczyk „Przyjaciel (ludowy) domowy“ zamiast ucieszyć, przeraził wszystkich swojem ukazaniem się; życia pozbawiony, był tylko upiorem, i gdzie nie zapukał zastał drzwi zamknięte. Przekonał się zasmucony, że przeżył samego siebie, że przeżył tych, którzy cieszyli się u jego kolebki a zapłakać nie mogli przy trunnie, obaczył nowych pracowników, inny kierunek... zmierzył swe siły, przekonał się, że nie ma ich tyle, by stanąć do walki — i znowu legł do grobu po kilku numerach, mniemamy: na zawsze... bo dla takiego szermierza, jakim było to pismo, nie ma już miejsca w naszym kraju. Dawniej dość było dla dziennika, gdy go czytano; dziś już tego za mało! dzisiaj wymagamy, by on na czytanie zasługiwał. Dla tego całe lata wolno było „Przyjacielowi domowemu“ łatwym sposobem istnieć, by skoro raz już w klasie średniej obudzi chętkę czytania — dać jej na pokarm duchowy rzeczy nie przeżute... dać coś więcej, aniżeli „Przyjaciela domowego.“ Dziś wymagamy, by pisma nie służyły tylko spotrzebowaniu papieru i farby drukarskiej, ale ażeby przynosiły korzyść literaturze. Handel księgarski stracił na ruchu, nakładów prawie niemasz, ogół czytuje tylko pisma czasowe — ich więc obowiązkiem jest wywołać nowe piśmiennicze siły, zachęcać do pracy, nie pozwolić na zastój w literaturze. Ratujmy się! bo malejemy z dniem każdym; literatura nasza chyli się do upadku, a gdy jej nie będzie, czem zostaniemy?... Ludzie rodu i mienia u nas myślą o giełdzie i przedsiębiorstwach, nie o rozwoju piśmiennictwa ojczystego; magnatów węgierskich, biskupów Chorwackich, którzyby miljony ofiarowywali na rzecz podniesienia literatury niemasz pomiędzy nami; księgarnie stały się kramami; wydawcy „Bibliotek kolejowych“ i t. p. tylko wyzyskują ogół... rzucamy się do tysiącznych rzeczy, chwytamy wszystko — tylko o literaturze nikt nie myśli, tylko jej pozwalamy upadać niepomni, że wraz z nią i imie nasze pójdzie w zapomnienie... Kilka pism czasowych — oto wszystko w Polsce, co pracuje nad rozwojem, strzeże piękne słowo polskie od zagłady. Widety w narodzie — pilnujmy siebie wzajemnie, by strażnika sen nie zmorzył! Kramarzom i przekupniom zostawmy frymarkę słowem ojców, póki ich nie zdołamy wygnać ze świątyni... my zaś pracujmy nad wzrostem literatury! W czasach tak bardzo dla niej krytycznych, zespolmy się w jeden silny zastęp, ażeby odpierać wrogie napaści, mieć siły potrzebne do działań. Jednym zwiążmy się łańcuchem, ducha wezwijmy na pomoc, i razem! w obronie skarbu jedynego, który nam pozostał: drogiej ojców mowy. Jeśli pisma uchylą się od pracy nad rozwojem literatury, któż się dzisiaj tej pracy u nas podejmie? Przedruki i tłumaczenia nie wzbogacają literatury — w żadnym więc piśmie nie zcierpiemy takowych! Poczytywaliśmy za nasz obowiązek ostro wystąpić za to przeciw „Przyjacielowi domowemu...“ nie zawahamy się potępić i pisma najbardziej zasłużone, jeżeli kiedykolwiek sprzeniewierzą się zasadzie. Gdy zguba grozi, a nie wiedzą o niej w śnie pogrążeni — biją w dzwon!... Każden usypiający na swem stanowisku znajdzie nas gotowych do poruszenia serca tego dzwonu! a niechaj i na nas on zadzwoni, jeśli kiedy, strzeż Boże, zejdziemy z drogi obowiązków.

„Gwiazdka Cieszyńska“ i **„Dzwonek“** lwowski obudzają w nas smutne myśli o piśmiennictwie ludowem. Pole to najważniejsze, zaniedbane w zupełności. O wszystkiem radziliśmy przez długi czas narodowego istnienia, ale szczerze pomyśleć o ludzie — nie mieliśmy dość dobrej woli. Wiekowy ten grzech obojętności na los miljonów oby tylko nie wypadło przypłacić zatratą naszego imienia, bo taka obojętność nigdy nie przechodzi bezkarnie!

Popatrzmy na ludy Europy, na współbraci naszych Słowian — mniej lub więcej myślą oni nad losem włościan, pracują nad ich dobrobytem; u nas... węzły łączące nas z ludem zerwane od wieków!... odnosimy się doń z niechęcią; wrogo przeciw niemu usposobieni, sami widzimy w ludzie naszych nieprzyjaciół; robimy dlań to tylko, co jest nieuniknionem, co zanadto bije w oczy, by wykonanem być nie miało... Zrównało nas prawo, ale dzielą przesądy; zrównać powinno nieszczęście, ale zbyt zapamiętali w grzechu, i krzyż dźwigając, jeszcze na włościan patrzymy z ukosa... O, nie naprózno powstała pomiędzy uczonymi teorja o najściu Słowian przez obcych Lachów — nasz stosunek do ludu zdaje się potwierdzać domysły... my w istocie dziś jeszcze traktujemy lud, jak zaborcy swoich podwładnych. Zachód nauczył nas mówić o ludzie; ale gdzie ten, który do działań znagli?... Zabrać się do oświaty ludu, do polepszenia jego bytu, dać mu pismo, książkę stosowną — o, jakże to dla nas trudno!... Zdarza się, że głośniej niekiedy zaczniemy mówić o ludzie, napiszemy sporo projektów, wiele nowych rozpraw, wygłosimy świetnych mów niemało... ale gdy do czynu przyjdzie, naówczas następuje zamieszanie, wynajdują się okoliczności, rosną przeszkody... i rzecz kończy się na tytule bajek pana Ostaszewskiego... O, tak! „Dobre chęci“ to wszystko, co mamy dla ludu; nieszczczęściem chęci te nie dają mu oświaty i chleba!...

Nie znając Szląska, nie wiemy: o ile „Gwiazdka“ odpowiada wymaganiom czytelników; ale całość tego pisma, jak się nam przedstawia, kazała by się domyślać, iż jest ono przeznaczone dla ludu, ale nie ludowe... że ze względów ubocznych potrzebnem jest jego istnienie, ale bezpośrednią korzyścią dla ludu nie jest; trudno bowiem przypuścić, by lud szlązki zadawalniał się treścią, zadawalniał formą „Gwiazdki.“ Nie raziż go pewna uczoność, jak na pojęcie włościanina? czyliż nie zraża piśmienna mowa, której zapewne lud tameczny nie używa w życiu codziennem?... Czas by już wielki stanowczo orzec: czego chcemy od pisma ludowego? Moralnej ludu korzyści, czy wzbogacenia literatury? Oczewiście, że pożytek stoi tu na planie pierwszym, a cel drugi osiąga się o tyle, o ile utwory ludowe w piśmie ludowem wartością swą wchodzą w dziedzinę literatury... Tymczasem wydawcy naszych pism ludowych zdają się żywić przekonanie odmienne, bo pisma ich — treści nie tykając, która częstokroć bywa nic wartą — jakby pracowały wyłącznie nad uswojeniem ludowi mowy piśmiennej... A czynią to redaktorowie nie z pobudek wyższych, chociaż się niemi przykrywać zwykli; ale poprostu: dla nieznajomości ludu i jego mowy — dla braku owego klucza, któren otwiera wnętrze serc prostaczków. Ażeby redagować pismo ludowe, dla tych panów zdaje się być dość: zwykłą mowę piśmienną przepleść kilkoma wyrazami luźnemi, nadać nieco szorstkości, i rzecz skończona... Nie, panowie! Nieco więcej zachodów wymaga kierownictwo sercem ludu i piecza o rozwój duchowych jego własności... Na wieś! pod strzechę zajrzyj

słomianą; potem pracy włościan obmyj twe czoło; zapatrz się w tej prostoty głębie, byś nie szyb wody tylko, ale tonie przeniknął; umiej przemówić do włościanina słowem jego piastunki i siwowłosego praojca — a wtedy pojmie cię, ukocha prawdę przez cię podaną, usłucha twojej rady i pójdzie za tobą... inaczej, tylko czas marnie tracisz, łudzisz siebie i innych, na tysiączne sposoby powtarzając zużyte frazesa, a w braku innej treści ratując się żywotami królów i hetmanów!... Ktoby chciał poznać: jakiemi powinny być pisma ludowe, niechaj rozpatrzy się w pismach Serbów łużyckich, a głównie niechaj się zwróci do pisarzów ludowych ukraińskich. Ci są twórcami arcydzieł w mowie ludowej, i pierwsi podnieśli ją do godności literatury. Chcąc być przez lud zrozumianym, należy doń przemawiać słowem jego macierzystem, nie oglądając się: jakie miejsce zajmuje ono w języku książkowym. Chybia celu, kto się inaczej zabiera do rzeczy!... którą to zasadę podejmując się obronić w teorji, wskażemy na potwierdzenie jej w praktyce: ilekroć razy szło o interes pierwszorzędny w chwili stanowczej, jak w czasie powstania — pisma, przemowy, odwołania się, kazania nawet miewane do ludu — posługiwały się nie językiem książkowym, ale mową, żargonem ludu, jak ją przezwali niechętni... Ale nie wiemy o ile zasadzie tej hołduje „Gwiazka" a tem mniej „Dzwonek" któren głównie przeznaczony dla ludu Galicji zachodniej, robi na nas wrażenie parafialnego pisemka dla dzieci szkółek małoszlacheckich, ale nie pisma ludowego,

Rozmaitości.

* Koncert na dochód Stowarzyszenia czeladzi pod nazwą „Gwiazda."

Nasz kochany Lwów jest doskonałą parafją, ze wszystkiemi jej przymiotami. Powagi grają w nim tak wielką rolę, jak w najmniejszej mieścinie, lub we wsi największej. Na każdem polu, w każdym fachu mamy doskonałość, skończoność... i ludzi doskonałych, skończonych tak dalece, że grzechem jest chęć zabrania się do dzieła, którego oni są mistrzami, występkiem współzawodniczenie. Zabrał się ktoś do szycia butów — Poco nam butów! — natychmiast wołają parafianie — wszak mamy szewską powagę X. Założył ktoś pismo... Precz z niem! Wszak je wydaje powaga Y!... Zaprasza na swój koncert przyjezdny artysta... Nic warte! wszak to nie powaga Z!... Na każdym kroku możemy się spotkać z tą śmiesznością. Szanownym lwowianom zdaje się, że dwóch ludzi jednego zatrudnienia istnieć obok siebie nie może! że każden nowy pracownik jest wrogiem, którego napaść odeprzeć należy. Krawiec nie cierpi krawca, malarz jest wrogiem malarza, literat — ma wilczy apetyt na swych kolegów... artysta muzyk przeklina każdego, kto rozpoznaje nóty!...

Nie zbywa na przykładach, których niestety mamy dostatkiem... Jeden z nich biorąc, rzucimy okiem na stosunek w jakim się mają do siebie nasi artyści muzycy.

Wyższe zrządzenie, czy prosty przypadek chciały, że Lwów zgromadza w swych murach dość wiele ludzi interesujących się muzyką, i miasto nasze oddawna miało sławę miasta muzykalnego. Po długiem oczekiwaniu zawiązało się wreszcie „Towarzystwo muzyczne" które ostatecznie nie chciało, czy nie było w stanie skupić w sobie wszystkie siły muzykalne naszego miasta, ani też tak zadowolić licznych miłośników muzyki, ażeby ci potrzebowali tylko śpiewać wieczystą w cześć jego: *hosanna!...* Znaleźli się obojętni na sprawy „Towarzystwa," nie zbywało na malkontentach... Tymczasem przybywały siły nowe, które swego istnienia bynajmniej „Towarzystwu" zawdzięczyć nie potrzebowały, a rok bieżący dał mu takich zapaśników, z którymi nareszcie liczyć się wypadło. Szkoła muzyczna p. Kozłowskiego, Towarzystwo przyjaciół śpiewu zaczęły wzrastać pod bokiem „Towarzystwa" i zyskiwać zwolenników. Na taką zuchwałość uderzono na alarm, jakby wróg nadciągał! i zamiast zgodzić się z faktem, że „Towarzystwo muzyczne" nie zadawala muzyków, skoro nowi powstają zapaśnicy... zamiast wejść na drogę reform i w sobie siły roztrzelone zespolić — za wrogów ogłoszono tych, którzy nie z „Towarzystwem" trzymają, za nieprzyjaciela każdego, kto śmie oddać sprawiedliwość zacnym usiłowaniom osób prywatnych, chcących złemu zapobiedz. Wnet podzielono się na dwa nieprzyjazne obozy. Kto z Mikulim ten z nami! — woła arystokracja. — Po za „Towarzystwem muzycznem" nie znamy muzyków we Lwowie!... „Precz z zacofanem Towarzystwem!" — wołają inni, i wre walka podziemna.

Zapowiedziano na dzień 26. maja koncert na rzecz „Gwiazdy." Kto w nim udział przyjmuje? — pytają zewsząd. — Czy jest Mikuli, Marek, księżna C?... Nie ma tych powag... Coż znaczy koncert? Czy podobna słuchać gry i śpiewu amatorów i uczniów p. Kozłowskiego? *Horror!...* I chociaż cel wysoko sympatyczny, a nawet dość modny, chociaż programat zapowiadał rzeczy, które usłyszeć było warto — nawpół pustka zaległa salę koncertową, w której nie ukazała się ani jedna herbowa postać, a jeśli i wzięto bilety w kole arystokratycznem, tedy koncertu swą obecnością nie zaszczycono. I wszystko to dla jakich pobudek?... Dzieciństwo! i dzieciństwo gorszące!... Nie właściwiejże, jak już tyle razy mówiliśmy, porozumieć się z nowopowstałemi Towarzystwami, rozwalić mur chiński, którym się otoczono za lepszych czasów, poczynić nawet ustępstwa, byle tylko zebrać wszystkie siły, zestrzelić je w jednem ognisku, i raz juz wystąpić poważnie, nie bawiąc się w dyletantyzm, któren i mitrą książęcą pokryty zdradza swą obecność na każdym kroku. Porozumiewają się fabryki i ich robotnicy, schodzą się kupcy i handlarze — dla czegoż by muzycy lwowscy nie mogli się zejść ze sobą, i poważnie wziąść się do pracy?...

Koncert nie-„Towarzystwa muzycznego" wypadł w całości tak świetnie, iż tylko powinszować sobie możemy, że obok niego ma nasze miasto tak znakomite siły muzykalne. Wykonanie pierwszej części kwartetu Hajdna i drugiej części kwartetu Mozarta było w stanie zadowolić najsurowsze wymagania znawców. Z przyjemnością zauważaliśmy w grze p. S. pełność tonów wydobywaną ze skrzypiec, co tak wysoko stawia grę p. Kozłowskiego, którego p. S. jest uczniem.

Arja Orovera z *Normy* Belliniego znakomicie odśpiewaną była przez p. Wysockiego. *Entuzjasta* Moniuszki mniej nadawał się do jego głosu.

Döhlera fantazje i warjacje z tematów *Wilhelm Tell* Rossiniego, odegrane tego wieczora przez pannę Blumenfeld, dały nam w niej poznać znakomitą pianistkę. Dawno nie zdarzyło się nam słyszeć gry tak wzorowie pięknej, rzeczy wykonanej w najdrobniejszych swych odcieniach. Była tu męzkość tonów Zarzyckiego, technika Willmersa i miękkość gry Mikulego — a obok tego taki zapas świeżości, taka gry innosć, że albo zanadto daliśmy się unieść wrażeniom, albo w rzeczy samej p. B. ma swój własny sposób gry na fortepianie. Wielka tylko szkoda, że dokładność wykonania wzięła górę nad uczuciem, i to grze p. B. nie pozwala odnieść zupełnego tryumfu.

P. K(leczkowska) poprawnie odśpiewała Arję z opery *Joanna Hachette* Concona. Donizettiego Addio duet na sopran i baryton odśpiewany przez p. Kl. i. p. Wysockiego, na ogólne żądanie, został przez nich powtórzonym.

Ośmioletni K. dość dobrze odegrał na skrzypcach Melodję Dangla. Koncert zakończył Chór męzki Mendelsona, w którym górował dźwięczny i silny głos p. Koncewicza.

Żałować należy, że w koncercie nie wystąpili pp. Kozłowski i Skibiński nauczyciel szkoły muzycznej, którego znamy jako jednego z nieposlednich wykonawców dzieł klasycznych.

* (Teatr). Pozbawiwszy sceny naszej jej ozdoby pani Nowakowskiej że obecnie mowy być nie może o znośnem przedstawieniu dramatu i wyższej komedji, dyrekcja teatru sprowadza nowe siły męzkie, bez których wyśmienicie obejść się może... i ma nam za złe, że nie zadawalamy się jej dobremi chęciami!...

O nowościach nie da się wiele powiedzieć. Jeżeli p. Dzikowskiego *Autor w kłopocie* jest tylko komedją tak zatytułowaną, to niechaj nam wierzy autor *Autora*, że krytyka, z jego powodu jest w kłopocie daleko większym!... bo nie tylko że komedja jest nic wartą, ale prawdopodobnie takiejże oryginalności, jak owa niezapomniana, którą p. Dzikowski ogłosił w odcinku jednego z pism warszawskich... *Pierwszy akt* Apollina Korzeniowskiego jest rzeczą miernej wartości, i repertoarza nie wzbogaci... Nie pozostaje nam tedy nic innego jak tylko przejść do ocenienia gry p. Teksla nowoangażowanego artysty z Warszawy.

Rzecz to bardzo smutna, a z aktorami młodymi zdarza się niemal zawsze, że talent nawet pierwszorzędny pozbawiony kierownictwa, zostawiony własnym siłom i pobłażliwemu a nieumiejętnemu sądowi publiczności prowincjonalnej marnieje, przepada! Bardzo to dla aktora boleśnie; ale nie możemy, nie powinniśmy ukrywać przed p. Tekslem naszego zdania,

że dzisiaj gorszym on jest aktorem, aniżeli gdy występował na scenie warszawskiej — prowincja popsuła go, zwichnęła młody talent tak, iż obecnie będzie musiał pracować długo nad zwalczeniem złego, zanim zdoła być takim, jakim był przed wystąpieniem na deskach teatru prowincjonalnego...

P. T e k s e l z powodzeniem grywał rolę amantów i świetną rokowano mu przyszłość, bowiem ma wszystko potemu, ażeby być kochankiem; ale prowincja jest nienasyconą!... ona zmusza aktora do rzucenia się na pole często zupełnie dla niego niewłaściwe, a raz z należytej drogi sprowadziwszy tak dzielnie bywa wspartą przez rozmaite okoliczności, że młody aktor prawie zawsze zepsuć się musi, jeśli go los nie umieści w teatrze stołecznym, w mieście w którem istnieje krytyka. Pobyt młodego aktora w teatrze prowincjonalnym jest dobrodziejstwem o ile pozwala przekonać się: w jakim kierunku talent rozwijać należy? i z powodu, że prędzej oswaja artystę ze sceną, ale raz rzeczy te zdobywszy, aktor któren by nie chciał być zgubionym, niechaj ucieka z prowincji.

Źle już z artystą, gdy jest własnym sędzią, kiedy napróżno ogląda się za tym, którego zdanie musiałby szanować... a prowincja daje to złe bardzo prędko! Dość kilku ról lepszych, nieco oklasków, a broń Boże s t a n o w i s k a, które pozwala wybierać dla się role w sztuce — i aktor zgubiony! Zarozumienie owłada nim co raz silniej, za nią postępuje lekceważenie sztuki, której tajemnice tak łatwo udało się przeniknąć i zostać jej mistrzem; poczucie miary artystycznej zaciera się w artyście, rozsiadują się w nim sztuczki, bombasterja — i oto z utalentowanego aktora mamy monstrum!

Pan T. nie przeszedł wszystkich kolei, i oby ich nie przechodził! ale jest już na bardzo złej drodze i uratowanie swe zawdzięczyć będzie mógł tylko usilnej pracy, jeśli się jej oddać zechce. Za miarę wartości talentu p. T. posłuży występ jego w dramacie p. t. *Arcydzieło nieznane*, w roli snycerza.

Nie znamy nic w dramatycznej literaturze francuzkiej, coby w tak szczupłych ramach zawierało w sobie tyle bogactw artystycznych, jak ów jednoaktowy dramat. Treść jego jest następująca: Zaledwie dwudziestoletni artysta rzeźbiarz Rolla kocha i jest wzajemnie kochanym przez córkę senatora Andrea Costa, z którą widuje się potajemnie, gdyż jako nie szlachcic, ani zamarzyć może, by mu wolno było bywać w domu kochanki, by ją mógł widzieć bez zasłony. Zabójczą jest miłość bez nadziei! Rolla wie, że nadejdzie chwila, w której mu skarb jego pochwycą obcy ludzie, i zostawią bolejącego ze wspomnieniem... Eleonora nie może być jego!... Ale jej obraz jest własnością kochanka, nie ustąpi z jego duszy, pozostanie w sercu... a dla oka, artysta stworzy wizerunek-posąg pięknej wygnanki z Neapolu. Chociaż nędza przygniata, chociaż go krewni zwą próżniakiem, Rolla w skrytości od świata, w tajemnicy wielkiej pracuje, i wykonał — arcydzieło: posąg Eleonory, jej wizerunek, a tak życia- prawdy pełen, że zda się, iż zejdzie ze swej podstawy, — że przemówi do mistrza-kochanka!... Michał Anioł przypadkiem odkrywa tajemnicę Rolli, ujrzał arcydzieło — i za głosem mistrza wnet cała Florencja brzmi odgłosem sławy nieznanego artysty, W. książe przeznacza mu nadgrodę i złoty wieniec... Ale na pogodnem niebie groźne zebrały się chmury; grom z nich pada i godzi w serce Rolli. Margrabia Appiani, starający się o rękę Eleonory, zazdrośny że nad niego przenosi nieznanego snycerza, chce gwałtem zabrać statuę na wystawę, której wydania odmawia artysta. Dla czego? odpowiedź bolesna! Oto świat cały dowie się, że Rolla widywał potajemnie Eleonorę, i jego kochanka będzie zniesławioną... Nie dziwimy się więc rospaczy z jaką broni tajemnicy; a gdy przemoc za silna — Rolla zadaje cios sobie i swej przyszłości: gruchocze posąg, i pada bez zmysłów. Wieść o nagrodzie otrzymanej, widok Eleonory, którą mu ojciec za żonę oddaje, hołd ludu Florencji już go nie mogą przywołać do życia... Cios był za silny, wzruszenie nad miarę — Rolla umiera.

W takiej to roli wystąpił p. T e k s e l; w roli popisowej nawskróś, łatwej dla nagromadzonych w niej efektów — trudniej ze względu na różnorodne przejścia i niezwykłą głąb' ducha, którą uwydatnić potrzeba.

Zanadto wysoko cenimy sztukę dramatyczną, zanadto wzrostu jej u nas pragniemy, byśmy nie mieli odwagi wypowiedzenia prawdy chociażby najbardziej gorzkiej dla artysty. Przykra — ona uleczyć jest w stanie — zdanie wymijające prawie zawsze zabija. Wadą największą w p. T. jest głos gardłowy. Fistuła w śpiewie i deklamacji razi zarówno, a p. T. używa jej zawsze, i jakby przez zapomnienie tylko zrzadka mówi czystym głosem piersiowym. Następnie p. T. przejął się wadą prowincjonalną: goni za efektem; ale nie dozwolonym nawet dla mistrzów, lecz za efektem nierozumnym, bo nie uzasadniającym się na możności, na prawdzie rzeczy. Ruchy jego tracą na estetyczności, przez zbytnią swobodę jaką im nadaje; a każdorazowe występowanie przed pierwsze lampy, przypomina manierę śpiewaków, którym się zdaje, iż przez to bardziej śpiew ich podoba się publiczności. Charakteru Rolli nie pojął. To nie płaczka beznadziejny, jakim go nam przedstawił; ale charakter — mąż ducha! Tysiączne gniotą go zmory, ale on zna swoją wielkość, wie iż w głębi ukryte potęgi — śnią, lecz na woli zaklęcie powstać muszą! Kwilący od początku, Rolla p. T. ani razu nie błysnął piorunną grozą, ani razu nie wypowiedział swych uczuć tak, ażeby widz zapoznał się z niemi bez trudu; krzyk, nienaturalne podniesienie głosu w miejscach niewłaściwych raziły, a gdy przyszło wybuchnąć, rozlać się uczuciem, które pierś rozpiera artyście — wówczas p. T. zaledwie wyszeptał: „Michał Anioł był w moim domu... widział moją pracę!...“ i już nikt nie uwierzył potrzebie, którą głosił, by się uspokoiło szczęściem przejęte serce, by się jego pierś rozszerzyła... Chwila zemdlenia, miejsce w roli może najbardziej wdzięczne, wypadła blado, i konwencjonalny oklask ozwał się w sali teatru, gdy zwykle w tem miejscu publiczność bywa w uniesieniu. Chociaż nieporadności reżyserji, zakulisowym nieporządkom wiele przypisać należy — nie mniej jednak p. T. nie wyzyskał należycie chwili, gdy po stłuczeniu statuy, wypada z za kotary z szalonym śmiechem i słowami: „Weź! weź! zabierzcie ją teraz!“ Konwulsyjny śmiech snać był nad jego siły, bo go opuścił... a upadł p. T. tak niezgrabnie, że coś podobnego zaledwie mogło by być przebaczonem początkującemu. We wszystkiem jest miara artystyczna... Rzucić się o ziemię tak, ażeby ciało odskoczyło jak piłka — nie znaczy upaść jak wskazuje sztuka. Nawet z nazwiskami zdawał się być nie oznajomiony artysta: *Leonardo da Vinci*, był u niego *Leonardem Vini. Lisa del Giocondo*, była Lizą inną. Raz tylko w chwili modlitwy podniósł się do artyzmu i wypowiedział ją z prawdą — lecz tego nie dość, by się wywiązać z roli, która cały dramat trzyma, szczególnie jeśli postacie Eleonory (panna Górecka) i nawet Michała Anioła (p. Królikowski) blado zostały przedstawione.

W panu T. widzimy artystę z przyszłością; wiemy, iż co zepsuła prowincja, to praca usilna naprawić w nim zdoła, i dla tego zdanie o nim wypowiadamy otwarcie, pewni, że nam tego za złe nie weźmie. Talentem miernym krytyka się nie zajmuje.

Rolę Eleonory należało powierzyć p. B i e ń k o w s k i e j, której talent rozwija się widocznie, gdy przeciwnie w pannie G o r e c k i e j postępu nie widzimy.

* Pan Nowolecki w Krakowie (b. księgarz Warszawski) przystępuje do wydawnictwa „Biblioteki ludowej ilustrowanej“. Doświadczenie wydawcy, współpracownictwo pisarzy ludowych, wziętość mających, i sympatyczny cel rokują temu przedsięwzięciu przyszłość pomyślną.

* Lwów coraz bardziej ożywia się, jakby miał świadomość ważności dzisiejszego stanowiska swego. Zawiązują się towarzystwa, budują domy, otwierają się nowe handle, pracownie, nawet wystawne (jak świeżo otwarty skład zegarów J. A. Kunde przy placu Marjackim); ale co nas najbardziej cieszyć powinno, że księgarstwo ruszać się poczyna, o tyle przynajmniej, iż zwiększa się liczba księgarń. Konkurencja w każdym razie będzie korzystną, bo nasi księgarze będą zmuszeni obok handlu księgarskiego zająć się jeszcze nakładami, co zbawiennie wpłynie na obudzenie się ruchu literackiego. Mamy obecnie we Lwowie cztery księgarnie polskie, licząc i księgarnię Richtera, a wkrótce przybędzie piąta p. G u b r y n o w i c z a, któren od lat kilkunastu pracuje w księgarni K. Wilda.

Korespondencja Redakcji.

WP. Wł. K... w P a r y ż u. „O wystawie“ zamieścimy. Rzeczy treści lżejszej będą pożądane.

A. D. w P a r y ż u. Korespondencję p. W. nie otrzymaliśmy. Dziękujemy za pamięć. Uczynimy co będzie można.

WP. K o r. w K r a k o w i e. Niepodobieństwo.

WP. K. M. w C z e r n i o w c a c h. Będą odesłane wraz z wyjaśnieniem.

Pan K r o n o s w m i e j s c u. Musimy to przejrzeć, by nie powiedziano, że kupiliśmy kota w worku.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.